POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 20-go stycznia 1945r.** **Rok VII. Nr. 3**

GRANICA POLSKO-NIEMIECKA

Traktat Wersalski miał dwa teksty. Pierwszy, wręczony jako warunki pokoju delegacji niemieckiej w dniu 7 maja 1919 roku, przyznawał Polsce znacznie więcej terytorium, niż tekst drugi, będący dokumentem ostatecznym i uroczyście podpisanym 28 czerwca tegoż roku przez wszystkich zainteresowanych. W maju przyznano nam między innymi bez zastrzeżeń nieomal cały Śląsk Opolski, w czerwcu sprawę tę oddano już na pastwę niemieckich krętactw plebiscytowych.

Im spokojniej stawało się na świecie, tym bardziej liczono się z Niemcami, nie z Polską. Przejawiło się to nie tylko w dwu wersjach Traktatu Wersalskiego. Na początku 1919 roku rzeczoznawcy amerykańscy, brytyjscy i francuscy dawali nam obok tego, co było na zachodzie nasze w 1939 roku, nie tylko Opolskie, ale także Gdańsk i dużą część Prus Wschodnich. Im więcej Berlin rozdzierał szaty nad losem pokonanych Niemiec, tym gruntowniej zmieniano poprzednie postanowienia na niekorzyść Polaków. Gdańsk oddano Lidze Narodów pod protekcję i wiemy czym to się skończyło; plebiscyt w Prusach Wschodnich miał być Salomonowym wyrokiem a skończył się krzywdą ludu mazurskiego, któremu okoliczności nie pozwoliły wypowiedzieć swobodnie co myśli o junkrach, pastorach i urzędnikach niemieckich, germanizujących go od wieków.

Polska rozstrzygnięcia niekorzystne dla niej przyjęła i była jednym z tych krajów, które najwierniej i najkonsekwentniej stały na straży postanowień wersalskich. Rok 1939 pokazał, że Polska była nawet gotowa z bronią w ręku trwać przy niesprawiedliwym dla niej Traktacie. Niemniej natychmiast w dniu wybuchu obecnej wojny opinia polska wypowiedziała się za koniecznością zmiany dotychczasowej granicy polsko-niemieckiej. Jednomyślność wszystkich była zupełnie wyjątkowa, zapał zaś osiągnięcia tego celu równy tylko woli zachowania niepodległości.

W końcu 1942 roku w okupowanej przez wroga Warszawie wydano drukiem książkę p.t. "Ziemie Powracające". Jest to geograficzne, gospodarcze i statystyczne studium terenów, które — zdaniem autorów — winny Polsce przypaść po tej wojnie. Interesuje ich terytorium zasadniczo do linii Odry, którą jednak przekraczają na Śląsku. Wydawcy we wstępie książki zauważają:

"Wojna obecna, kończąc nasze tysiącletnie zmagania z Niemcami, winna dać nam w ręce punkty należne zwycięzcy; wracając na ziemie, na których wchodziliśmy w historię, winniśmy tam mieć zabezpieczone władanie. I to winno być przesłanką zasadniczą naszego programu granicy zachodniej . . . Powrót na macierzyste ziemie Polski — musi stać się mitem nowej Polski, dogmatem życia polskiego, wywalającym twórczą energię wchodzącego w życie pokolenia walki i heroizmu. Jest on bowiem bramą, która prowadzi nas z ciasnego podwórka małych spraw na drogi wielkości. Jest i czymś więcej: problemem — być albo nie być Polski".

Słowa te wyraźnie charakteryzują uczuciowe nastawienie naszych braci z krajowych podziemi do zagadnienia nowej granicy polsko-niemieckiej.

Nie można powiedzieć, aby opinia międzynarodowa odniosła się od razu życzliwie do żądań terytorialnych Polski. W pierwszych dniach 1940 i 1941 roku uważano nas po trochu za marzycieli. Polska jedyna formułowała żądania wobec wówczas jeszcze — niepokonanych Niemiec. Szefowi Ministerstwa Prac Kongresowych, które opracowuje na emigracji polskie cele wojny, stanowczo radzono nie mówić o rewindykacji Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego — nawet w przemówieniu radiowym do kraju. W 1942 roku, gdy już Rommel cofał się znad granicy Egiptu, naszemu programowi terytorialnemu zaczęto przyglądać się już z mniejszą niewiarą w możliwości jego urzeczywistnienia.

Dziś obraz się już całkowicie zmienił. W co poważniejszej publikacji politycznej, ukazującej się w Wielkiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych, podkreśla się konieczność zmian terytorialnych we wschodnich Niemczech na rzecz Polski. Panuje tylko bardzo zasadnicza jeszcze rozbieżność co do rozmiaru terytorium, jakie Polsce winno przypaść.

Geograficzny bezsens enklawy wschodnio-pruskiej, wiszącej jak chmura burzowa, nad środkiem i wszystkimi żywotnymi ośrodkami Polski, działa na wyobraźnię a przez to na plany autorów, omawiających powojenne zagadnienia świata, najsilniej. Włączenie obszaru Prus Wschodnich w granice Polski ma więc najwięcej zwolenników. Jest oczywiste, że załatwia się tym samym na naszą korzyść sprawę Gdańska.

Trudniej zarysowuje się dla nas w międzynarodowej dyskusji sprawa obszarów dotychczas niemieckich na Śląsku. Pięść niemieckiego klina, wymierzonego w serce polskiego przemysłu, a przytem rozdzielającego Polskę od Czechosłowacji, nie jest jeszcze w pełni zrozumiana, jako bezpośrednie niebezpieczeństwo nie tylko dla nas, ale i dla całego basenu naddunajskiego. Zagadnienie gmatwa się jeszcze i dlatego, że za dużo mówi się w kołach międzynarodowej finansjery oraz międzynarodowego przemysłu o planach umiędzynarodowienia wielkich niemieckich ośrodków przemysłowych. Planami tymi obejmuje się także często Śląsk Opolski.

Gdzie jednak u ludzi rozważających powojenne sprawy Europy, zagadnienie Śląska jest badane gruntowniej, tam wszędzie wypływa kapitalny argument ludności polskiej w Opolskim i w przygranicznych powiatach Wrocławskiego. Wydaje się, że dopiero dziś, po ćwierćwiekowym przedłużeniu walki ludu śląskiego z niemieckim najeźdźcą zrozumiano, iż lud ten jest polski i pragnie państwowego związku z Polską.

Zmiany terytorialne na rzecz Polski na Pomorzu Szczecińskim podejmują w dyskusji międzynarodowej te koła, które myślą o zrekompensowaniu nas za jakieś ewentualne ustępstwo we wschodniej Polsce na rzecz Rosji. Trudno byłoby doszukać się w licznych poważnych publikacjach na temat powojennych Niemiec jakiegokolwiek głosu, który wykazywałby zrozumienie dla naszych historycznych praw na tych ziemiach czy dla prostej prawdy strategicznej, że granica Niemiec nie może przebiegać tuż obok żywotnych dla komunikacji Polski ze światem portów — Gdyni i Gdańska.

Dyskusji, przeciwstawiającej się jakimkolwiek żądaniom terytorialnym Polski na niekorzyść Niemiec, przodują pisarze emigracji niemieckiej oraz szereg anglosaskich germanofilów, znanych nam dobrze już z okresu konferencji pokojowej po Pierwszej Wojnie Światowej. W wywodach swych powtarzają oni stale szereg tych samych argumentów. Główne linie tego rozumowania podkreślają:

/1/ Postanowienia Karty Atlantyckiej, niedopuszczające do przesunięć terytorialnych bez zgody zainteresowanych społeczeństw, winny być w pełni stosowane także wobec Niemiec.

/2/ W interesie pokoju leży porozumienie sąsiedzkie Niemiec z Polską. Przy odstąpieniu jakichkolwiek terenów niemieckich Polsce porozumienie takie stanie się niemożliwe. /A czy takie porozumienie jest możliwe po tym wszystkim, co Niemcy "zdziałali" w tej wojnie w Polsce!/

/3/ Polska, biedna i wyniszczona wojną, nie jest w stanie gospodarczo wchłonąć nowych terenów. Przyjaciele Polski nie powinni więc zgodzić się na rozszerzenie jej terytorialnego stanu posiadania na północy i na zachodzie. /Rozwój województwa śląskiego po 1921 roku wykazał, że Polska daje sobie dobrze radę z posiadanymi przez siebie terenami!/

Jest rzeczą charakterystyczną, że emigracja niemiecka nie ogranicza się do walki z polskimi żądaniami terytorialnymi po obecnej wojnie. Emigranci niemieccy przystąpili już także do podjęcia dawnych ataków na wersalskie rozstrzygnięcia graniczne. Niektórzy z nich uważają nawet, że obecna wojna powinna doprowadzić do przyłączenia do Niemiec "korytarza" oraz części Śląska Górnego, przyznanej Polsce po plebiscycie w 1921 roku.* Moment ten należy podkreślić tym silniej, że terytorialny zasięg "korytarza" autorzy niemieccy pojmowali bardzo często jako obszar, obejmujący nie tylko nasze Pomorze, ale i część Poznańskiego.** To winno nas raz jeszcze przekonać, jak trudne a właściwie niemożliwe jest uzgodnienie polskiego punktu widzenia co do granicy polsko-niemieckiej z politycznym widzimisię niemieckim.

Historia postanowień wersalskich i obecny stan dyskusji w sprawie przyszłej granicy polsko-niemieckiej wskazuje, że walka o to, co za konieczne dla Polski uznała cała polska opinia, jeszcze trwa i jeszcze będzie długa oraz zacięta.

Nie stać nas i w tej walce na opuszczanie rąk, brak wytrwałości i brak zaciętości. Cel został wytknięty, w opinii międzynarodowej jest jednak zrozumiany jeszcze najzupełniej niedostatecznie. W kraju nas kiedyś zapytają: coście w tym kierunku zdziałali na emigracji? A pytać będą ze Ślązakami na równi Kaszubi i Mazurzy, pytać będą wraz z tymi, których do Prus Wschodnich, na Śląsk i na Szczecińskie Pomorze wywieźli Niemcy na roboty przymusowe i którzy czują się tam już jak — u siebie.

Dlatego o nowej granicy polsko-niemieckiej nie trzeba nam zapominać, mimo powodzi innych kłopotów.

JÓZEF WINIEWICZ

* Zobacz książkę ruchliwego w Stanach Zjednoczonych Austriaka-Wszechniemca Paul Hagena "*Germany after Hitler*", wydaną w 1944 roku, oraz ankietę przeprowadzoną wśród socjalistów niemieckich w Szwecji, scharakteryzowaną w "*Sozialistische Mitteilungen*", w numerze 60-61 z bieżącego roku.

** "*Zeitschrift für Geopolitik*", nr. 12 z 1935 roku artykuł p.t. "Das Warthegebiet als geographisch-politischer Raum".

ANDRZEJ WART: Dowódca plutonu



Przegląd tygodniowy

PRZEŁOM W POLSCE

Raz jeszcze, jak już nieraz w czasie obecnej wojny, uwaga świata przenosi się z frontu zachodniego na wschodni. W walce o pierwszeństwo w znaczeniu oba fronty rywalizują "ze zmiennym szczęściem". Były okresy, gdy front zachodni wydawał się absolutnie decydującym i inne, kiedy punkt ciężkości przenosił się na wschód. W pewnych momentach armie sojusznicze zdawały się wygrywać wyścig do serca Niemiec, kiedyindziej Rosjanie zbliżali się do niego w szybszym tempie. Czego natomiast do tej pory nie było, to równoczesnych wielkich uderzeń na obu frontach.

Teraz także ofensywa rosyjska na najważniejszym, środkowym odcinku frontu następuje w momencie, gdy ofensywa anglo-amerykańska wydaje się odroczona na parę miesięcy na skutek uderzenia Rundstedta. Nie byłoby rzeczą dziwną gdyby zakończyła się właśnie w momencie, gdy z kolei Sojusznicy zachodni będą zdolni do akcji na wielką skalę.

Trzeba zresztą od razu stwierdzić, że Niemcom niewiele z tego w obecnej chwili przyjdzie. Nie ma bodaj mowy o tym, by mogli przerzucić część swych sił z zachodu do Polski, ani też, by na wiosnę możliwe było wycofanie poważniejszych sił z frontu wschodniego. Bodaj jedynym frontem, gdzie możliwe są poważniejsze "oszczędności" jest front włoski. Jeżeliby Kesselring wycofał się w Alpy, to znaczna część 28 dywizji niemieckich mogłaby być przerzucona z frontu włoskiego bądź na front zachodni, bądź wschodni. Świeże doniesienia ze Szwajcarii głosiły, że taka decyzja opuszczenia Włoch już zapadła. Aczkolwiek podobne doniesienia nie sprawdziły się w przeszłości, to obecnie wydaje się rzeczą logiczną, że Niemcy zdecydowali się zrezygnować z terenów, które nic im już nie dają.

Być może, już niebawem problem rezerw znowu stanie się palący dla dowództwa niemieckiego, gdyż łatwość z jaką Rosjanie przełamali front niemiecki na zachód od Sandomierza dowodzi, że nie był on dostatecznie obsadzony. Być może zresztą, że pewne siły zostały z niego przerzucone na południe i użyte w próbie odsieczy dla Budapesztu.

Ofensywa rosyjska w Polsce zaczęła się 12 stycznia. Jak zwykle Niemcy donieśli o niej pierwsi; Rosjanie oznajmili o niej, zgodnie za swym zwyczajem, dopiero gdy dała rezultaty. Ale o ile w innych wypadkach Rosjanie dopiero po paru dniach podawali do wiadomości osiągnięcia, to tym razem już nazajutrz mogli się pochwalić poważnym sukcesem, a mianowicie przełamaniem frontu na szerokości prawie 40 mil i posunięciem się naprzód o 25 mil. Rezultaty osiągnięte w ciągu pierwszych dwu dni są więc poważne, tym bardziej, że Niemcy mieli wiele miesięcy na umocnienie się, co więcej zaś, mieli poważne powody oczekiwać ofensywy właśnie na tym odcinku. Zapowiadali ją zresztą od dawna.

Wszystko wskazuje na to, że kierunkiem ofensywy marsz. Koniewa jest Śląsk. Nie jest natomiast jasne, czy Rosjanie zadowolnią się atakiem na stosunkowo wąskim froncie w oparciu o Karpaty, czy też poważnie rozszerzą front swego uderzenia, atakując w kierunku Łodzi i usiłując zrolować cały front nad Wisłą.

Doniesienia niemieckie o dalszych ofensywach rosyjskich w rejonie Ejdkun w kierunku na Królewiec, nad Narwią i z przyczółka koło Warki wskazują na daleko idące plany dowództwa sowieckiego. Plany te mogą obejmować w szczególności próbę zlikwidowania bastionu wschodnio-pruskiego przez atak zarówno ze wschodu jak i od południa — grunwaldzkim szlakiem.

Rosjanie atakują też na pograniczu węgiersko-słowackim, gdzie zajęli Lucenec. Jeżeli jeszcze uwzględnić, że niemiecka próba odsieczy dla Budapesztu nie powiodła się i los stolicy Węgier wydaje się ostatecznie przypieczętowany, to zarysuje się możliwość gigantycznego manewru rosyjskiego po obu stronach Karpat w kierunku Śląska i Moraw.

Jednak dopiero po pewnym czasie można będzie ocenić możliwości rosyjskie. Reakcja niemiecka musi być w każdym razie gwałtowna — zagrożone są najważniejsze ośrodki gospodarcze fortecy niemieckiej.

ROZWIANE OBAWY

Początek ofensywy rosyjskiej w Polsce, spowodował uczucie wielkiej ulgi w krajach anglosaskich. Wołania o "drugi front", tym razem na wschodzie, ostatnio bardzo się wzmogły i coraz żywsze były, zwłaszcza w Ameryce obawy, że Rosjanie uprawiają "strajk włoski" ze względów politycznych. Wyrażano przypuszczenie, że Rosjanie uzależnią ofensywę na najważniejszym polskim odcinku od ustępstw anglo-amerykańskich w sprawie Polski. Niektórzy dziennikarze amerykańscy nie wahali się głosić, że trzeba "zapłacić" Rosji za ofensywę — oczywiście z polskiej kieszeni — gdyż inaczej cały ciężar wojny spadnie na Amerykanów na zachodzie.

Autorzy tej tezy nie uwzględnili, że Rosji tak samo zależeć musi na szybkim zakończeniu wojny z Niemcami, jak sojusznikom zachodnim, a może nawet więcej. Rosja wykrwawiła się bardzo poważnie. Znany amerykański dziennikarz White, który niedawno bawił w Rosji, pisze /w książce, z której wyjątki zamieszcza "*Readers Digest*"/, że w lecie Rosjanie rzucili na front nawet pół-inwalidów i bardzo młodych chłopców. W fabrykach nie widać absolutnie żadnych mężczyzn między 16 a 40 rokiem życia. Leży więc w interesie Rosji, by wojna skończyła się jak najprędzej. Względy polityczne zaś raczej nakazują im dążyć do uprzedzenia Anglosasów w wyścigu do serca Niemiec. Sercem tym jest obecnie raczej przemysł Śląska, Czech i Austrii, niż Berlin.

ARDENNY I ALZACJA

Sytuacja na froncie zachodnim rozwija się na ogół bez niespodzianek. Klin niemiecki w Ardennach likwidowany jest w przyśpieszonym tempie. Korzystając z pogody, która utrudniła bardzo akcję lotnictwa, von Rundstedt zdołał bez dodatkowych poważniejszych strat wycofać się ze znacznej części klina, unikając okrążenia. Bitwa pod Falaise nie powtórzyła się, gdyż w warunkach zimowych lotnictwo nie mogło odegrać takiej roli, jak w lecie w Normandii. Jednak rzeczą najważniejszą jest, że wielka klęska groziła Aliantom i że jej uniknęli.

Dopiero teraz w pełni można ocenić, jak groźna była w pewnej chwili sytuacja. Gdyby von Rundstedt osiągnął swój cel i dotarł do morza koło Antwerpii, olbrzymie siły anglo-amerykańskie zostałyby odcięte — nie mając nawet portów dla otrzymania zaopatrzenia czy ewakuacji. Zysk na czasie nie był głównym celem Rundstedta; dążył on do takiego sukcesu, któryby może pozwolił Niemcom na osiągnięcie pokoju kompromisowego. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie byłyby nastroje w Anglii, gdyby grupa armii Montgomeryego, została na skutek klęski Amerykanów odcięta i odosobniona. Teraz, gdy tego celu nie udało się osięgnąć, Niemcom pozostaje jedynie zysk na czasie. Ale wydaje się, że opłacony został stratą ok. 10 dywizji, co może okazać się ceną zbyt dużą.

Pomimo udanego wycofania dużych sił z Ardennów nie jest rzeczą pewną, czy Rundstedt będzie mógł poważnie wzmocnić swą ofensywę w Alzacji, któraby pozwoliła mu zachować inicjatywę. W ostatnim tygodniu nie poczyniła ona poważniejszych postępów i odnosi się wrażenie, że Niemców nie stać na powtórzenie operacji na skalę ofensywy w Ardennach, która była rzeczywiście bardzo potężna.

PACYFIK I ATLANTYK

Największym sukcesem sojuszników w ostatnim tygodniu była udana inwazja głównej wyspy Filipin Luzonu. Była to operacja zakrojona na gigantyczną skalę, mogąca się równać z inwazją kontynentu w czerwcu 1944. Dotychczasowe wyniki wydają się przechodzić oczekiwania. Opanowanie Luzonu przez wojska gen. MacArthura umożliwi przecięcie połączeń pomiędzy północną a południową częścią imperium japońskiego stworzonego w wyniku zwycięstw 1942 roku.

W walkach na Filipinach biorą udział setki tysięcy ludzi. Inwazja wymagała olbrzymich ilości żeglugi i zaopatrzenia. Wielu Brytyjczyków ma wątpliwości, czy nie można było poczekać z tą wielką operacją, a sił tam zaangażowanych użyć dla osiągnięcia szybkiego zwycięstwa w Europie. Dziś oczywiście jest już za późno zmieniać sojuszniczy plan wojny; niemniej wydaje się, że w najbliższej przyszłości front niemiecki uzyska zdecydowane pierwszeństwo nad frontem dalekowschodnim.

Niemcy oczekują zwiększonych transportów wojska amerykańskiego poprzez Atlantyk. Stąd wzmożenie kampanii okrętów podwodnych i zwiększenie strat żeglugi alianckiej. Ale adm. Doenitz nie może mieć złudzeń, że zdoła zahamować strumień posiłków, które powinny przeważyć szalę w bitwach nadchodzących miesięcy.

GRECJA I JUGOSŁAWIA

Tymczasem trwa wielka batalia polityczna o to, czy Europa środkowo-wschodnia ma być demokratyczna czy totalitarno-komunistyczna. Na terenie Grecji siła komunistów wydaje się słabnąć. Zawieszenie broni nastąpiło na warunkach niezbyt korzystnych dla ELAS, która musiała wycofać się nie tylko z Attyki i części Peloponezu, ale także z Salonik. Jedynym atutem komunistów jest trzymanie w rękach dużej ilości zakładników, dzięki czemu spodziewają się oni uratować się przed likwidacją. Jednakże barbarzyństwo, jakim jest branie zakładników według najlepszych niemieckich wzorów, spowoduje dalszą utratę sympatii, jaką ELAS niezasłużenie cieszyła się w kołach lewicy w W. Brytanii i w Ameryce. Szanse zdobycia przez komunistów władzy w Grecji wydają się już teraz w każdym razie bardzo małe.

Sąsiednia Jugosławia, która znalazła się w rosyjskiej strefie wpływów, była natomiast na drodze do triumfu dyktatury komunistycznej i to triumfu legalnego. Układ zawarty przez premiera Subasic'a z marsz. Tito w gruncie rzeczy torował drogę wyłącznym rządom t.zw. ruchu wyzwolenia narodowego. Jednakże król Piotr raz jeszcze wystąpił w obronie ideałów wolności, tak drogich narodowi jugosłowiańskiemu i sprzeciwił się układowi, który depcze zasady demokracji. Oczywiście Tito może stwarzać na terenie Jugosławii fakty dokonane według znanych wzorów, ale przynajmniej nie grozi legalne oddanie władzy w jego ręce. Także w Jugosławii ostatnie dni przyniosły komunistom pewne niepowodzenie.

Bitwa polityczna o wolność narodów kontynentu, które nie chcą brunatnej dyktatury zamienić na czerwoną, nie tylko nie słabnie, ale wzmaga się. Ostatnie słowo bynajmniej jeszcze nie zostało powiedziane.

Londyn, 15 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

Z tygodnia na tydzień

8 stycznia: W nocy z 7/8, w dwunastą noc z rzędu, lotnictwo brytyjskie bombardowało Niemcy. Głównym celem było Monachium.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie cele nieprzyjacielskie na froncie zachodnim.

—Ujawniono, że po zdobyciu Moerdijk Dywizja Pancerna objęła odcinek frontu nad Mozą w Holandii z zadaniem patrolowania.

9 stycznia: Podano szczegóły ataków Armii Krajowej na niemieckie linie komunikacyjne.

—Walki toczą się na płn. i płd. od Strasbourga.

—Teby zostały uwolnione przez wojska brytyjskie od partyzantów E.L.A.S.

10 stycznia: Sprzymierzeni zajęli St. Hubert w Ardennach. Wojska niemieckie wycofują się.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało bardzo silnie za dnia Kolonię, Bonn i in.

11 stycznia: Sprzymierzeni zajęli Laroche na odcinku frontu w Ardennach. W rejonie Bitche Niemcy wznowili ataki, zajmując Hatten.

12 stycznia: W Berlinie ogłoszono, że wojska sowieckie rozpoczęły wielką ofensywę w Polsce, w rejonie miejscowości Baranów nad Wisłą, na płd. od Sandomierza.

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało bardzo silnie bazę niemieckich okrętów podwodnych w Bergen.

—Ogłoszono, że został podpisany rozejm między wojskiem brytyjskim a partyzantami E.L.A.S. w Grecji.

13 stycznia: W Moskwie ogłoszono, że w dniu 12 bm. wojska sowieckie rozpoczęły wielką ofensywę w Polsce na zach. od Sandomierza. Zajęto m.in. Chmielnik.

—Niemcy podali, że wojska sowieckie zajęły Wiślicę.

—Niemcy podali, że wojska sowieckie atakują silnie w Prusach Wschodnich.

—I Armia amerykańska atakuje pozycje niemieckie między Malmedy a Stavelot.

Wojna na morzu

U PROGU NOWEGO ROKU

Nadoptymizm części prasy amerykańskiej i brytyjskiej, przed którym tylokrotnie a bezskutecznie ostrzegano, wydał gorzkie owoce. Ta sama prasa dziś przyznaje, że osłabła wydajność produkcji wojennej krajów anglo-saskich. Zamiast spodziewanego zakończenia wojny "na Święta", nastąpiło natarcie niemieckie. Natarcie, które — jak znów czynniki miarodajne otwarcie przyznają — było zaskoczeniem taktycznym.

Ale nie ma zaskoczenia taktycznego bez równoległego zaskoczenia strategicznego i operacyjnego. Jak to ostatnio pisał "*Observer*" — chciano skończyć wojnę stosunkowo małymi siłami lądowymi /80 dywizji na froncie zachodnim/, z dużym nakładem lotnictwa. Lotnictwo oczywiście zrobiło wiele, ale zgodnie z opinią tego samego pisma /i wielu autorytetów wojskowych/ — "kilka tysięcy bombowców nie zastąpi strategicznych rezerw na lądzie". Dodajmy, że tym bardziej nie zastąpi marynarki.

Zbytnie zaufanie do skuteczności działań własnego lotnictwa i niedocenianie możliwości Niemiec /właśnie pod względem strategicznym i operacyjnym/ skończyło się przykrą niespodzianką. Ta sama prasa, która idąc po linii "pobożnych życzeń" opinii publicznej, głosiła przedtem o przełamaniu Linii Zygfryda, o likwidacji *Luftwaffe* i o rychłym końcu wojny — z zapałem godnym lepszej sprawy szuka dziś winnych. Nie widzi, że winna jest w olbrzymim stopniu sama! I daremnie wynajduje "drugą Linię Zygfryda", aby się z własnego "nadoptymizmu" wyplątać.

Bo niewątpliwie, fałszywe poczucie bezpieczeństwa i przesadna nadzieja łatwego i rychłego zwycięstwa przedostały się z tyłów na front i . . . pomogły nieprzyjacielowi. Wyżsi dowódcy nie mogli się skutecznie przeciwstawić fali nadoptymizmu, idącej "z dołu". I daremnie wysokie autorytety lotnictwa twierdziły, że jakkolwiek Niemcy ponieśli kolosalne straty od bombardowań, to jednak samo lotnictwo wojny nie wygra.

W rezultacie nadoptymizm wyrządził dużą szkodę, dając Niemcom cenny dla nich czas do uruchomienia nowych broni, podnosząc w nich ducha i bądź co bądź oddalając widmo marszu na Berlin. Ciekawe też, że pomimo 1.400.000 bomb rzuconych na Rzeszę i kraje okupowane w roku ubiegłym, przemysł niemiecki działa dalej /częściowo pod ziemią lub w rozproszeniu/. Koleje przewożą wielkie masy wojska, sprzętu i zaopatrzenia. I możliwe są koncentracje do przeciwnatarć w rejonie frontu . . .

Wśród trzech części sił zbrojnych wpływ nadoptymizmu dał się najsłabiej odczuć w marynarkach sprzymierzonych. Okręt ma to do siebie, że wojna dla pływających na nim, nie tak znów bardzo różni się od warunków pokojowego bytu. Marynarz mniej styka się ze społeczeństwem, mniej jest wystawiony na "szkodliwe pokusy" lądu. Gazety dochodzą nieraz po kilku miesiącach, radia nie zawsze jest czas słuchać, a zresztą nie tkwi ono tak w pamięci jak słowo drukowane. Natomiast czujność i obowiązkowość muszą być zawsze na wysokim poziomie. Na okręcie nie ma "tyłów", a hasło brzmi: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

Dlatego też w obecnej fazie działań marynarka zaskoczyć się nie dała. Ani powrót dużych i małych okrętów podwodnych, ani latające bomby i samoloty odrzutowe, ani żywe torpedy i dalokierowane ścigacze — nie były dla niej niespodzianką. I dlatego nieprzerwany strumień posiłków ludzkich i sprzętu, zaopatrzenia, paliwa i t.p. płynie na plac boju.

Nikt nie twierdził nigdy, że marynarka może sama wygrać wojnę, ale jeśli ostatnie zrywy Niemców obrócą się w ostateczną klęskę, to — miejmy nadzieję — nikt nie zapomni, że bez marynarki zwycięstwo nie byłoby możliwe.

ADMIRAŁ RAMSAY

Sprzymierzeni ponieśli ciężką stratę w osobie admirała Sir Bertram Ramsay'a — dowódcy floty inwazyjnej. Jego dziełem były operacje desantowe w Afryce, we Włoszech i we Francji, operacje, w których uczestniczyły tysiące okrętów i statków. Historia nie zna faktu dowodzenia tak liczną flotą i do tego w tak specyficznych warunkach.

Admirał Ramsay zginął w wypadku samolotowym. Ktoś nie bez racji zauważył, że w wojnie obecnej więcej admirałów zginęło w powietrzu niż na okrętach. Dowodzi to w każdym razie, że marynarka — wbrew mniemaniu — nie jest konserwatywna.

Adm. Ramsay miał lat 61. W roku 1938 przeszedł w stan spoczynku, ale w rok później powołany został ponownie, a w r. 1940 dokonał w niezwykle trudnych warunkach ewakuacji Dunkierki i Calais. Sprawdza się więc jeszcze raz słynne zdanie marsz. Wavell'a, że "nie ma sztywnej granicy wieku dla wodza i kochanka".

TYM NIKT NIE PORADZI

Marynarka U.S.A. posiada obecnie tonaż 7½ razy większy niż w lipcu 1940, oraz 100 razy więcej okrętów — oświadczył minister Forrestal. 40.000 jednostek pływających przybyło w r. 1944. W jednym miesiącu — maju — przybyło 400.000 ton. Tonaż ogólny wszystkich flot wynosi około 4 milionów ton dla 1160 okrętów bojowych, oraz 6.600.000 ton dla 55.000 jednostek pomocniczych.

Raport przyznaje, że z ośmiu okrętów liniowych, zbombardowanych w Pearl Harbour — dwa /a nie jeden, jak pierwotnie podawano/ nie powróciły do służby. Pozostałych sześć uczestniczyło w bitwie pod Filipinami. Flota lotniskowców liczy 123 okręty, w tym 13 o wyporności ponad 20.000 ton każdy. Okrętów podwodnych jest 170. Nowe nadpancerniki, krążowniki i kontrtorpedowce przybywają w przewidzianych terminach. Ostatnio Amerykanie wylądowali na zachodnim brzegu wyspy Luzon, niedaleko Manilli, z 8000 jednostek pływających.

Japońskiemu ministrowi marynarki — po przeczytaniu meldunku o tym — musiały "przejść" mrówki po grzbiecie.

WOJNA PODWODNA

Spodziewany nawrót nastąpił i Niemcy chwalą się zatopieniem w grudniu pół miliona ton statków handlowych i kilkunastu wojennych. Wice-admirał Ingram, dowódca atlantyckiej floty U.S.A. ostrzega, że może nastąpić bombardowanie brzegów Ameryki bombami latającymi z okrętów podwodnych.

Cyfry niemieckie są jak zwykle przesadzone, tym nie mniej niebezpieczeństwo istnieje. Niemieckie bazy w Norwegii są stale atakowane przez morskie i lotnicze /także i polskie/ siły sprzymierzone, ale około 300 okrętów podwodnych jeszcze działa. Zaopatrzone są, zdaniem admirała Ingrama, w szereg zupełnie nowych przyrządów i mogą używać silników spalinowych w zanurzeniu. Tym samym odpadła legenda o istnieniu silników unitarnych — do równoczesnego napędu na wodzie i pod wodą. Niemieckie okręty posiadają normalne silniki elektryczne do pływania podwodnego i "Diesle" dla nawodnego. Jednakże specjalne urządzenie wentylacyjne zezwala na użycie "Diesli" w płytkim zanurzeniu.

BITWA NA WODACH INDO-CHIN

III flota amerykańska adm. Halsey'a dokonała wypadu na wody Indo-Chin. Zniszczono 25 okrętów i statków japońskich oraz 39 samolotów. Operacja miała na celu ułatwienie innym siłom desantu na Luzon /Filipiny/, który jak wiadomo miał miejsce nie ze wschodniej /amerykańskiej/, ale z zachodniej /chińskiej/ strony archipelagu. III flota odwróciła uwagę nieprzyjaciela, a równocześnie sparaliżowała jego komunikacje na tych wodach. Fakt, że eskadry admirała Nimitza mogą dowolnie operować na wodach tak dalekich od własnych podstaw operacyjnych i całkowicie leżących w strefie działania japońskiego lotnictwa lądowego — świadczy bardzo chlubnie o strategii Stanów Zjednoczonych, a równocześnie o ich marynarce i jej lotnictwie zaokrętowanym.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

O.R.P. "Piorun" i O.R.P. "Błyskawica" odbyły niedawno szereg pływań na Atlantyku w bardzo ciężkich warunkach. Okręty polskie wypełniły z powodzeniem powierzone im ważne zadania.

Stan Polskiej Marynarki Wojennej na 1 stycznia przedstawia się jak następuje:

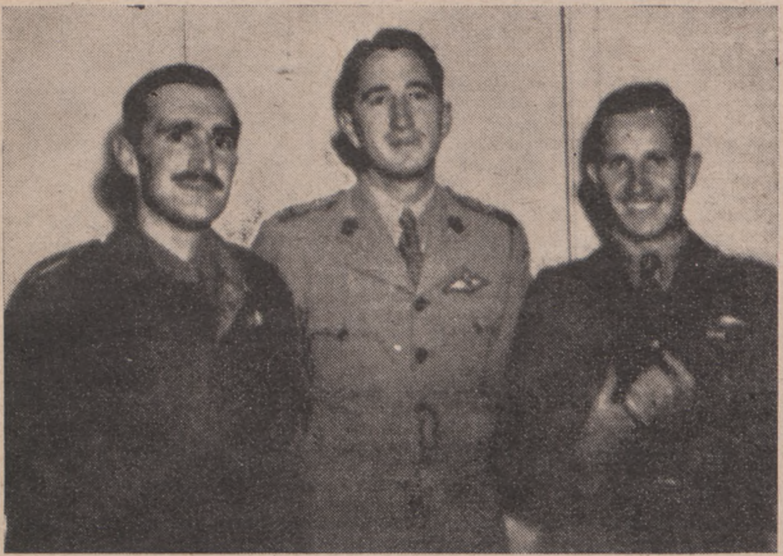
1 krążownik, 6 kontrtorpedowców, 6 okrętów podwodnych /w tym 3 internowane w Szwecji/, 8 ścigaczy.

Jedyną stratą w r. 1944 był krążownik "Dragon" — rozbrojony na skutek uszkodzenia w akcji bojowej.

JULIAN GINSBERT

Biało-czerwone róże z Polski

(Korespondencja własna "Polski Walczącej" z Afryki Płd.)



Lotnicy południowo-afrykańscy, którzy byli nad Warszawą: /od lewej/ ppor. B. Austin z Johannesburga, kpt. J. L. Van Eyssen z Johannesburga i por. D. Holliday z Kimberley. Zdjęcie przesłane airgraphem

Telefon Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Johannesburgu zadzwonił.

—Kto mówi? — spytała panna Lusia.

—*Captain van Eyssen, a South African airman. I would like to speak to the Polish Consul.*

Rozmowa była widocznie niewyraźna, bo Lusia powtórzyła:

—Kto mówi? Kim pan jest?

—*An airman from Warsaw* — padła tym razem odpowiedź, krótka, zwięzła i jakby obliczona na efekt.

Efekt też był piorunujący. Lusia opowiadała później, że ją "zatkało". Nic dziwnego. Wszyscy tu żyliśmy pod wrażeniem Warszawy, jej strasznej tragedii. Każde wspomnienie o Warszawie, dla nas tu, oddalonych od niej o prawie 10.000 kilometrów, stawało się z dnia na dzień cenniejsze. Z Afrykańczykami często i z uznaniem mówiliśmy o szlachetnej pomocy udzielanej Warszawie przez Unię Południowo-Afrykańską za pośrednictwem jej dzielnych lotników. A tu dosłownie z nieba spada nam lotnik, który właśnie był nad Warszawą.

Captain Eyssen widocznie przewidywał jaki efekt jego słowa wywołają. Cierpliwie bowiem, z słuchawką w ręku, parę dobrych minut czekał na odpowiedź. Otrzymawszy wreszcie połączenie z konsulem p. Szczęsnym Zaleskim, poprosił o pozwolenie złożenia wizyty.

Naturalnie termin wizyty zaraz ustalono. Konsul prosił lotnika, by przyszedł jak najprędzej. Wszystkie inne wizyty, zobowiązania i czynności służbowe zeszły po prostu na drugi plan. Człowiek z Warszawy musiał wejść na plan pierwszy. To było jasne.

Czekaliśmy na niego w najwyższym napięciu. Komuś przeszło przez myśl, że należało by wybudować naprędce "bramę triumfalną". a co najmniej zasypać go kwiatami . . . Wzruszenie było ogromne. W ciągu kilku krótkich minut, każdy zdradził swe tak długo ukrywane myśli i troski o drogą wszystkim Warszawę. Żałoba serca na chwilę ustąpiła nadziei, że za parę minut naoczny świadek z Polski rzuci choć parę jaśniejszych promieni na tę najtragiczniejszą z naszych tragedyj.

Wreszcie przyszedł. Wysoki, przystojny człowiek, jeszcze o dobrych kilka lat oddalony od trzydziestki. W mundurze oficera lotnictwa Południowo-Afrykańskiego, lecz z czapką brytyjskiej *Royal Air Force*. /Później opowiadał, że czapkę lotnictwa Unii zgubił nad Warszawą. Odesłany potem do Moskwy nie mógł tam jednak otrzymać przepisowej czapki, wobec czego R.A.F. ze swych zapasów w Moskwie dał mu czapkę brytyjskiego lotnictwa. Tradycja R.A.F. przewiduje, że otrzymanej w takich okolicznościach czapki wolno używać z mundurem lotnictwa, do którego obdarowany lotnik należy/. Oczekiwaliśmy bohatera, więc też wyobrażaliśmy sobie postać bohaterską. Tymczasem przybyły bynajmniej na takiego nie wyglądał. Skromnie, nawet z pewnym zażenowaniem i jakby w tonie tłumaczącym się, powiedział Konsulowi:

—Przyszedłem, by w imieniu własnym i pozostałych przy życiu członków załogi mego samolotu podziękować za pomoc i gościnę, której nam Polacy w Polsce udzielili, gdy zostaliśmy zestrzeleni na wschód od Warszawy. Nigdy w życiu nie zapomnimy tych dzielnych Polaków, którzy z narażeniem własnego życia wyprowadzili nas z niebezpiecznej linii frontowej, a potem ofiarowywali wszystko, co tylko mieli, byleby nam pomóc.

Wrażenie tych paru zdań było ogromne. Myśmy się tu zastanawiali, jakby najlepiej podziękować za pomoc, której dzielni lotnicy południowo-afrykańscy z takim poświęceniem udzielali Warszawie, a tu jeden z nich przychodzi nam dziękować . . . Więc na żałobę serc naszych padły jaśniejsze promienie. Jakże dumni byliśmy z tego, że jesteśmy Polakami.

Kapitan van Eyssen jakby wyczuł ten nastrój, widoczny zresztą w tym momencie w naszych twarzach.

—Tak — dodał — możecie być dumni z każdego swego rodaka, pozostałego w Kraju. Ja i moi towarzysze jesteśmy dumni, żeśmy waszych rodaków poznali i żeśmy mieli możność z nimi się zaprzyjaźnić.

A potem nastąpiła bardziej szczegółowa, choć krótka opowieść lotu kpt. van Eyssen'a. Kapitan J. L. van Eyssen, rodem z Johannesburga, wnuk nieżyjącego już generała z czasów wojny Burskiej /1899 — 1902/, był dowódcą jednego z wielu "Liberatorów" południowo-afrykańskich, które pewnego dnia, w sierpniu wraz z większą liczbą polskich bombowców, wystartowały do Warszawy z szeregu baz we Włoszech. Załoga samolotu składała się z ośmiu ludzi. Prócz van Eyssen'a tworzyli ją: por. D. Holliday z Kimberley, ppor. B. Austin z Johannesburga, ppor. Robert Hamilton z Pretorii oraz starszy sierżant */Flight-sergeant/* Steward Litchfield, sierżant L. Mayes, sierżant R. Hutson, wszyscy z Anglii i sierżant George Peaston ze Szkocji.

Droga do Warszawy była uciążliwa. Często wpadali w strefę burz. Nadto ciężkie chmury i mgła utrudniały nawigację. Na dobitek zaś, nad terytorium w rękach niemieckich, które stanowiło znacznie większą część trasy, artyleria przeciw-lotnicza nieprzyjaciela zmuszała do utrzymywania się na maksymalnej wysokości. Należało również liczyć się z tym, że zza każdej chmury może wyskoczyć nocny myśliwiec nieprzyjaciela.

W odległości około 50 mil od Warszawy orientacja stała się już łatwa. Dobrze z tej odległości widoczna łuna palącej się stolicy była teraz dla nawigatora nieomylnym drogowskazem.

Nad Warszawą lotnicy zastali piekło. Niezliczona liczba reflektorów, setki rakiet świetlnych i tysiące rozpryskujących się pocisków niemieckiej artylerii przeciw-lotniczej czyniło lot nad miastem prawie niemożliwy.

A miasto samo przedstawiało stokroć gorszy widok. Całe — od krańca do krańca — stało w płomieniach. Pożary dokładnie zarysowywały place, ulice. Tu i ówdzie pięły się w górę szkielety zrujnowanych wież kościelnych, większość domów, wówczas jeszcze stojących, była bez dachów. Jeden z lotników opowiadał potem, że dopiero nad Warszawą Dante znalazłby prawdziwie realistyczny obraz dla swego "Piekła".

Mimo tych piekielnych warunków, dzielni lotnicy wykonali polecone im zadanie. Obniżyli lot do 300 stóp i zrzucili zaopatrzenie dla obrońców Warszawy.

Wydawało się, że misja udała się całkowicie. Niestety, przy wyprowadzaniu maszyny ze świateł reflektorów, w które się dostała i z ulewy pocisków, które dokoła latały — samolot został kilkanaście razy trafiony. Drugi pilot, ppor. Robert Hamilton oraz dwaj strzelcy, sierżant R. Hudson i L. Mayes zostali zabici, dwa motory stanęły w płomieniach, jeden przestał pracować, a wkrótce ogień zaczął przerzucać się na prawe skrzydło. Padł rozkaz kpt. van Eyssen'a — opuszczenia samolotu . . .

Działo się to o parę mil na południowy wschód od Warszawy, około godz. 12-ej w nocy. Pięciu pozostałych przy życiu lotników wylądowało na spadochronach, jeden z dala od drugiego, pomiędzy prawym brzegiem Wisły a m. X . . . Czterech wylądowało szczęśliwie, jedynie kpt. van Eyssen lekko raniony jeszcze w samolocie, uległ poważniejszemu wstrząsowi, odnosząc przy tym obrażenia nóg.

Każdy z lotników, po kilkugodzinnym błądzeniu, trafił na Polaków, którzy się nim zaopiekowali, a później ułatwiali wzajemne odszukanie się. Znów razem lotnicy afrykańscy udali się do m. Y . . ., koło X . . . na pogrzeb swych trzech towarzyszy.

W pobliżu Y . . . bowiem spadła ich maszyna. Miejscowa ludność szybko — mimo nocy — podążyła do samolotu w nadziei uratowania jego załogi. Lecz znalazłszy jedynie zabitych, okryła ich zwłoki sztandarami Polski i Wielkiej Brytanii oraz wzgórzem biało-czerwonych kwiatów, przeważnie róż.

Pogrzeb przemienił się w manifestację przyjaźni polsko-brytyjsko-południowo-afrykańskiej. Ludność w liczbie kilku tysięcy osób, w tym wiele dzieci ze wszystkich okolicznych szkół, w niezwykle serdeczny sposób wyrażała uczucia wdzięczności za pomoc udzieloną przez lotników z dalekiego Południa i Zachodu bohaterskiej Warszawie. Po pogrzebie ludność Y . . . postanowiła wybudować własnym kosztem pomnik na wspólnej mogile poległych lotników.

Wkrótce po tym lotnikami afrykańskimi zajęły się sowieckie władze wojskowe. Wysłały one lotników do Moskwy, a stamtąd samolotem do ich bazy we Włoszech. Z kolei odlecieli oni do Południowej Afryki, na tak bardzo zasłużony odpoczynek.

— — — — —

Tyle dowiedzieliśmy się w Konsulacie z opowiadania kpt. van Eyssen'a. Ale wyczuwaliśmy, że to opowiadanie jest niekompletne. Wyczuwaliśmy, że poza sprawozdawczym opowiadaniem o pobycie wśród Polaków i poza pochwałą serdeczności i gościnności ludności polskiej kryje się coś więcej.

Kapitan van Eyssen to potwierdził:

—Chciałbym powiedzieć więcej — dodał jakby usprawiedliwiająco — ale proszę mi wierzyć, że nie mogę. Jestem żołnierzem, więc powiedziałem tylko to, co mi jako żołnierzowi wolno było powiedzieć. Zresztą jako kontuzjonowany, wkrótce zostałem odstawiony do sowieckiego szpitala wojskowego i wówczas mój bardzo krótki kontakt z Polakami urwał się całkowicie . . . Ale — dodał pocieszająco — moi towarzysze, por. Holliday i ppor. Austin będą pewno mogli powiedzieć nieco więcej. Oni przebywali między Polakami znacznie dłużej. Możebyśmy wkrótce wszyscy razem się spotkali i wówczas państwo usłyszycie pewno coś więcej o swych rodakach . . .

— — — — —

I rozpoczęła się na cześć lotników afrykańskich na terenie Johannesburga i Pretorii długa seria oficjalnych i prywatnych przyjęć, ciągnąca się niemal przez cały listopad. Każdy chciał osobiście pomówić z lotnikami, każdy chciał usłyszeć o tym, co się obecnie dzieje w Polsce.

Były więc przyjęcia u konsula generalnego R.P. w Pretorii, u konsula generalnego R.P. w Johannesburgu, w Polskim Centrum Informacyjnym w Johannesburgu, w domu inwalidów, żołnierzy polskich z Bardii, Tobruku i Gazali, wciąż jeszcze leczących swe rany w szpitalach Unii. Było też przyjęcie dla Polaków, urządzone przez rodzinę kpt. van Eyssen'a.

Na przyjęcia przybył szereg najwybitniejszych osobistości w Unii, a między innymi wice-premier J. H. Hofmeyr, szef lotnictwa południowo-afrykańskiego, gen. C. J. Venter, szef R.A.F. w Unii, wicemarszałek lotnictwa M. B. Frew, wdowa po generale Dan Pienaar, wielkim przyjacielu Brygady Karpackiej oraz wiele innych osób. Polacy z Pretorii i Johannesburga przychodzili w komplecie. Byli też inni lotnicy, którzy brali udział w lotach nad Warszawą, jak kpt. Marais z Pretorii i por. Sleed z Bloemfontein, który został odznaczony D.F.C. za odwagę i przytomność umysłu, wykazaną nad Warszawą, po przejęciu ciężko uszkodzonej maszyny z rąk zabitego pierwszego pilota.

Opowiadania lotników na tych przyjęciach miały czasami charakter chaotyczny, często je przerywano, lecz prowadzone były w nastroju niezwykle głębokiego wzruszenia, nierzadko wśród łez słuchaczy i słuchaczek. Padały urywane zdania, komentarze, pytania . . .

Okazało się, że jeden z Polaków w Pretorii mieszkał bardzo niedaleko miejsca, gdzie spadł samolot, a miejscowości w powiecie warszawskim, które lotnicy w swych opowiadaniach często wymieniali — były jego starymi, znanymi "kątami". Zbyteczne tłumaczyć, w jakim nastroju ów Polak rozmawiał z lotnikami . . .

Zbyteczne również tłumaczyć nastrój, w którym słuchaliśmy opowiadania o dwóch chłopach i dziewczynie polskiej, którzy przy huku dział sowieckich i niemieckich wyprowadzali ppor. Austin'a z pasa "bezpańskiej ziemi", przylegającego do niemieckiej linii frontowej; o proboszczu, który mimo grożącego mu niebezpieczeństwa podejmował i wspomagał lotników; o dzieciach jednej ze szkół powiatu warszawskiego, które przy dalekim "akompaniamencie" dział, urządziły dla lotników pokaz tańców i śpiewów polskich, a nawet nauczyły się kilka angielskich zdań powitalnych; o wielu innych Polakach, którzy mimo własnego niedostatku znosili lotnikom tysiące papierosów, chleb, masło, kiełbasy, miód i t.p.

Wyczuwaliśmy biedę — opowiadali lotnicy — widzieliśmy zmizerowane wojną twarze, napotykaliśmy ruiny, a mimo tego serca tych ludzi potrafiły dla nas wynajdywać rzeczy, które często nawet tu, w bogatej i oddalonej od wojny Afryce, uchodzą za luksus.

Jednak szczytowym momentem przyjęcia lotników była dla nas chwila, gdy ppor. Austin zaprezentował nam przywiezione z Polski papierosy oraz dwie zasuszone róże, białą i czerwoną. Papierosy były wprawdzie "tylko" machorkowe. Tym niemniej z jakim namaszczeniem braliśmy je do rąk . . . I nikomu nawet nie przyszła do głowy myśl, by je zapalić. To by było świętokradztwo.

A róże . . . Ppor. Austin otrzymał je od ośmio-letniej dziewczynki jednej ze szkół powiatu warszawskiego, w której znalazł schronienie.

—Niech ci te biało-czerwone róże, zawsze przypominają, że my dzieci polskie nigdy nie zapomnimy was lotników z dalekiej Afryki, którzy przylecieliście nam pomagać — powiedziało dziecko po angielsku.

—A ja — dodał ppor. Austin do swego opowiadania — noszę teraz te róże w portfelu na sercu, by mi stale przypominały, że dzięki tym dzielnym Polakom jestem tu znów z wami w Afryce.

— — — — —

Opowiadania "lotników znad Warszawy", jak ich tu nazywamy, zrobiły również duże wrażenie na Afrykańczykach, a w prasie tutejszej znalazły szerokie echo. Lecz chociaż obfitowały w wiele ciekawych i wzruszających epizodów, to jednak nam Polakom nie dawały kompletnego obrazu sytuacji w tej części Polski, z której zostali wyparci. Niestety na ten temat lotnicy byli powściągliwi.

—Opowiem ci kiedyindziej — odpowiedział zapytywany przeze mnie ppor. Austin.

A gdy go później spotkałem, dodał wymijająco:

—Wczoraj podobno była w Johannesburgu kwesta uliczna na rzecz ludności cywilnej w Polsce. Będąc nieobecny nie dałem ani grosza. Masz tu na ten cel czek na trzy gwinee. Później dam więcej, bo na tych dzielnych ludzi żadnego grosza nie szkoda . . .

—Na odpowiedź zaś na twoje pytania zaczekaj do . . . końca wojny — zakończył dwuznacznie.

WIESŁAW WALIGÓRSKI

WILNO

Kto tak w ciszę kaplicy wieczorem się skrada,
kogóż to nie przeraził zimny wiatr zamieci? . . .
Ach, to Poeta, który wytęsknił Konrada
i z dali wołał: Ty, co w Ostrej bramie świecisz . . .
Cień jego idzie na książęcy zamek,
potem przyklęka wśród krzyżów na Rossie,
widzi — wody Wilejki są dawne, te same,
lecz jakiś obcy zapach nieba nad Zaosiem.
Jakże dźwięk nocnych zegarów jest głuchy,
jak pusto i jak zimno w bernardyńskiej celi . . .
Oto znów odchodzicie przyjaciele, druhy
i znów przed wami biały wschód się bieli.
Szuka kochanki, idzie za miasto na błonie,
/ślad jej zatarła niepamięć lat tylu/
rozpacznie woła, jak w poezji wołał do niej:
i znów cię po raz drugi tracę Marylu,
Marylu . . .

PIOSENKA O LWOWIE

Umarł żołnierz gdzieś w Gazali
za ojczyznę i Podole,
święty Piotr się go użalił
i powiada: dam ci życie znów.
Święty Piotrze spać tu wolę,
wróćże za to matce mojej Lwów.
Przyszedł ojciec aż znad Drwęcy
szukać syna, który poległ
i w mogiłach śpi orlęcych —
przyszedł, by mu Drwęcę dać do snów.
Mą ojczyzną wschodnie pole,
tu zostanę, ojcze, gdzie mój Lwów.
Nic nas nigdy nie rozdzieli,
trwać będziemy jak powietrze,
on — semper fidelis
i my dzieci chrobrych jego snów.
Przyjdzie matka, łzy mu zetrze,
wróci syn do matki, wróci znów.

POECI BEZ ZIEMI

Czas po bezdrożach dziejów przebiegnie, przeleci
i zanim umrze gdzieś na świata skraju
zapyta: gdzie się wasi rodzili poeci? . . .
A nasi poeci ojcowizn nie mają, nie mają . . .
Potracili poeci zagony, zagony,
potracili je w chrobrych i samotnych bitwach.
Jednemu ukradł step romantyzm Góry Bony,
drugiego opuściło i zdrowie i Litwa . . .
Śpiewaliśmy elegie wiślanym poddaszom,
nie było od was, wolnych śpiewaków, pomocy . . .
Umierać tylko my umiemy za wolność nie naszą
my, poeci bez ziemi, wolności prorocy.

JULIAN DOBROWOLSKI

Polskie "maki"

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Dwa "maki": Edek i Staszek — obecnie ochotnicy do W.P.



Polska "makistka" — obecnie ochotniczka do "Pestek"

"Za maka byłem" — mówi jeden czy drugi, albo: "Jakem był w makach . . ." Są starzy, młodzi, czasem obdarci, czasem wystrojeni w jakieś niesamowite, fantazyjne, bliżej nieznane mundury. Każdy ma na sobie coś biało-czerwonego i kawałek wstążki, opaskę, czy przyszytą na kieszeni wielką, biało-czerwoną łatę z wyhaftowanym na niej niezgrabnie białym orłem. Na rogatywkach, beretach, furażerkach czy czapkach noszą wycięte z puszek od konserw wielkie blaszane orły.

Polskie "maki". Na południu Francji spotyka się ich tysiące. O ile na północy Polacy zorganizowani byli przeważnie w oddziałach Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość, o tyle tu, wielu z nich trafiało do francuskich organizacji podziemnych. Było to zresztą, w pewnej mierze, tylko rzeczą przypadku.

Przez cztery lata okupacji niemieckiej, pokryte lasami góry Masywu Centralnego, czy niedostępne Alpy stały się schroniskiem dla wielotysięcznej rzeszy ludzi, którzy zbuntowali się przeciwko niewoli. Były tam różne narodowości, różne zawody, różne organizacje polityczne. Obok oddziałów potężnej organizacji radykalnej *"Franc Tireurs et Partisans Français"*, konserwatywnej, stworzonej przez oficerów regularnej Armii Francuskiej *"Armée Secrete"*, czy międzynarodowej zbieraniny *"Mouvement Ouvrier International"*, istniały luźne, niezwiązane z niczym i samodzielnie działające brygady. Powstańcy zaopatrywani w broń początkowo z alianckich zrzutów lotniczych, zdobywali resztę na Niemcach; nieśmiałe, sporadyczne wypady w doliny przeszły z czasem w nieustanne niemal, codzienne ataki na niemieckie komunikacje, konwoje, a nawet mniejsze garnizony górskie. Ukryci w górach niedostępnych dla czołgów czy samochodów pancernych, powstańcy wzrośli na sile tak, że — jak w wypadku walk o płaskowyż Vercors — Niemcy, poza paleniem wielu wiosek i mordowaniem setek zakładników, musieli uciekać się do bombardowań lotniczych i lądowań wojsk szybowcami dla stłumienia akcji powstańczej.

W czasie słynnych walk o Vercors zginęło kilku uczniów i profesorów polskiego gimnazjum w Villard-de-Lans w Departamencie Isère. Polacy walczyli w Masywie Centralnym, w Alpach, na Riwierze. Należeli do różnych organizacji bojowych, często nawet nie orientując się w ich charakterze; uciekinierom z niewoli niemieckiej czy z batalionów pracy Vichy, było zresztą niemal wszystko jedno, kto im daje broń i amunicję, byle mogli bić Niemców, jak Francuzi. Szli w góry i lasy, gdzie był opór. Nazywali się po prostu — *Maquis*. "Maki".

Dzisiaj setki tych polskich "maków" spotyka się na stacjach zbornych rozsianych po całej południowej Francji.

Antoni "Z" ze Lwowa walczył w obronie swego rodzinnego miasta w 1939 roku, potem w kampanii francuskiej. Po trzech latach niewoli w Niemczech uciekł. Dowiedziawszy się o lądowaniu Aliantów na południu, przedostał się wraz z czterema lotnikami brytyjskimi i czterema Amerykanami, do Francji i wylądował wśród "maków" sabaudzkich.

—"W górach już była kupa narodu" — mówi Antek — "F.T.P. M.O.I. i różna inna granda. Większe oddziały miały własne kamiony, rekwirowany wikt i nawet kwatery w zajętych wioskach, biedota siedziała w lasach. Były tam też poza tym różne bezpańskie brygadiery, batiary co nigdy wojska nie widzieli, a teraz tworzyli kompanie czy brygady, mianowali oficerów i własne "makowskie" sądy polowe. Od takich brygad trzeba się było trzymać z daleka, bo jak człowiek raz wpadł, to już się wydostać nie mógł. Sąd polowy i koniec".

O dzikich brygadach słyszałam już poprzednio. Stwarzane przez międzynarodowych awanturników, nie miały często nic wspólnego z wojną, ograniczając się do atakowania i rabowania przede wszystkim bezbronnych wiosek francuskich. Jedną z takich band, na przykład, w okolicy Montpellier, dowodził polski Żyd, rzeźnik z Łodzi, znany jako *"Monsieur Leon"*. Pan Leon wraz ze swym sztabem składającym się z kilku Hiszpanów i Hiszpanek sterroryzował całkowicie swój własny oddział składający się z dobrej woli ochotników do walki z Niemcami i używał ich do napadów na wieśniaków w okolicy. Dopiero przybycie Aliantów położyło kres jego bandyckiemu panowaniu.

Antek "Z" i jego alianccy towarzysze woleli nie przyłączać się na razie do żadnej organizacji.

—"Chodziliśmy od bandy do bandy, aż trafiliśmy do F.T.P. Dowódca brygady był pułkownik rosyjski, którego nazywaliśmy "Michel". Z 16-go na 17-go sierpnia, gdy Alianci byli już niedaleko, rozeszło się po górach, że będziemy atakować Thonon-les-Bains. Kto tę akcję planował nie wiem, ale rozkaz był widać dla wszystkich brygad naraz, bo ruch się w górach zrobił jak jasna cholera. Karabiny, mitrajetki, granaty ręczne, co kto miał to zabrał — i w kamiony! Gdzie zabrakło broni, to tylko na wierzchu batiary z mitrajetkami jechali, a reszta w środku markirowała; co biedniejszy brygadier, że nawet własnego kamionu nie miał, to ze swoją wiarą na piechotę z gór walił; starzy byli między nimi i dzieciaki takie, że ledwo karabiny unieść mogli, ale wszystko jedno, byle szło, *en avant*!!!"

—"Ilu was było?"

—"Cholera wie . . . trzy czy pięć tysięcy, co drugi chyba bez broni, ale hałasu narobili, jakby sam Eisenhower z "makami" na Thonon ciągnął. Już od połowy drogi zaczęli granatami rzucać, z mitrajetek walić, zgiełk, rejwach, strzelanina, że się tylko człowiek oglądał, żeby od swoich nie oberwać!"

—"W Thonon był garnizon niemiecki sześćset chłopa z pułkownikiem na czele. Na dobrą sprawę mogli nam jeszcze dać łupnia, bo niejeden "mak" co broń miał, to z niej strzelać nie umiał, widać jednak bałagan, jakiegośmy po drodze narobili, napędził im stracha; po godzinie strzelaniny wywiesili białą chorągiew".

"Maki" zajęli miasto, popędzili jeńców w góry, kilku dziewczynom, które z Niemcami chodziły, ostrzygli włosy i poszli dalej, na Evian-les-Bains. Tam wzięliśmy do niewoli duże biura Gestapo, i cały szpital niemiecki. Pod wieczór, kiedy się wiara za kwaterunkiem zaczęła rozglądać, gruchnęła wieść, że Niemcy całym konwojem z odsieczą na Evian walą. W dziesięć minut ani jednego "maka" nie było w mieście. Pozbierali się dopiero w nocy, czy następnego dnia, w górach. I tak — do następnego razu".

Siła *Maquis* na południu Francji płynęła w dużej mierze z poparcia miejscowej ludności: górnicy, czy wieśniacy ukrywali zawsze znajdującego się w niebezpieczeństwie powstańca, ich córki czy żony dostarczały im żywności, przenosiły meldunki. Nawet mali chłopcy, dzieci niemal, garnęły się do podziemnej roboty.

Jednego z takich malców spotkałam na stacji zbornej zaciągu do W.P. w Marsylii. Edek, syn górnika polskiego, z Departamentu Ardèche wygląda na lat dziesięć; hojni dają mu — mimo małego wzrostu i drobnej budowy — piętnaście: on sam twierdzi, że ma osiemnaście i na poparcie słów swych demonstruje kartę tożsamości z niezgrabnie wydrapaną i podrobioną datą urodzenia.

Bez wyrzędu na to, ile ma naprawdę lat, Edek jest już doświadczonym "makiem", bo w górach spędził ostatnie dwanaście miesięcy. Zabawną mieszaniną polsko-francuskich słów opowiedział mi w obozie swoją historię.

Rok temu jeszcze chodził do kopalnianej szkoły w departamencie Ardèche. W domu słyszał wieczorami, jak dwaj jego starsi bracia planowali ucieczkę w góry; po nocach przychodzili do nich inni chłopcy, ustalając szczegóły wyprawy. Miało ich iść dwustu, wszyscy młodzi górnicy w osadzie, połowa z tego niemal — Polacy. Ułożono cały plan, przygotowano wszystkie szczegóły, lecz w przededniu ucieczki, do domku przyszedł oddział Gestapo; ktoś zdradził spisek i Niemcy zaaresztowali i wywieźli wszystkich prowodyrów grupy.

Dwa tygodnie później Edek uciekł z domu, w którym pozostali tylko staruszkowie rodzice, i przez miesiąc prawie błąkał się sam po górach. Partyzanci wtedy jeszcze ukrywali się głęboko w lasach i odszukanie ich nie było rzeczą łatwą. Gdy wreszcie trafił na jakiś oddział F.T.P., brygadier nie chciał go przyjąć, bo — jak mu się nieopatrznie wyrwało — "i tak miał za dużo dzieci". Ostatecznie wzięli go na gońca, bo znał okolicę — i bo nie mogli się od niego odczepić.

—"Przez pierwsze miesiące, nosiłem meldunki do innych oddziałów, a gdy brygada szła na wyprawę, zostawałem w obozie do pilnowania rzeczy. Potem wysyłali mnie na wywiad. Dostałem rower i na kilka godzin przed wyprawą jechałem na teren wypatrywać Niemców. Na miesiąc przed oswobodzeniem Ardèche dorobiłem się już własnego karabinu".

Otrzymanie karabinu, a zatem prawa udziału w wyprawach, równało się pasowaniu Edka na prawdziwego "maka". Zdobył je w czasie patrolu poprzedzającego duży atak *Macquis* na garnizon niemiecki w jednej z miejscowości koło St. Etienne. Posłany na zwiady drogą, którą za parę godzin miał zejść oddział, Edek wpadł w ręce żandarmów niemieckich, strzegących mostu na rzece. Zaprowadzono go na posterunek i tam przez trzy godziny bezskutecznie próbowano wydobyć zeznania. Po wydostaniu się na wolność z zmroku, mały, nie mogąc z powrotem przejść przez most, przepłynął rzekę wpław i zziębnięty, mokry, odnalazł w nocy schodzący już z gór oddział i uprzedził go o zasadzce.

Dzisiaj Edek czeka w Marsylii na zaokrętowanie do Włoch. Uważa się już za żołnierza; zapytanie, czy wybiera się do Junaków zbywa pobłażliwym uśmiechem. Edek idzie na prawdziwą wojnę.

W okręgach już całkowicie opanowanych, powstańcy mieli swoje kwatery we wsiach. Większe oddziały utrzymywały tam nawet własne szpitale. W jednym z nich, w miejscowości Antraigues departementu Ardèche pracował polski "mak" — lekarz, znany wśród Francuzów jako "Doktór Górski". Był on w brygadzie F.T.P. liczącej przeszło 400 ludzi.

—"Już kilka tygodni przed przybyciem Aliantów — powiedział mi dr. Górski, obecnie lekarz jednej ze stacji zbornych WP — okolice Antraigues były zupełnie opanowane przez *Macquis*. Brygada nasza, licząca razem przeszło 400 ludzi, atakowała dzień w dzień niemieckie transporty na głównych drogach. Wyjeżdżając, *Macquis* zabierali ze sobą ambulans, którym następnie przywozili rannych do mego szpitala urządzonego w wiejskiej szkole. W szpitalu miałem 15 łóżek i najelementarniejsze instrumenty; ciężko rannych wysyłaliśmy do szpitala w miejscowości Aubenars, która zresztą była jeszcze w rękach niemieckich".

"Brygada miała tabor 12 aut osobowych, dwie ciężarówki, jeden ambulans i kilkanaście rowerów i motocykli, używanych przeważnie przez nasze "makistki", łączniczki. Mieliśmy poza tym duży obóz jeniecki; "makiści" stosowali się wiernie do przepisów wojennych i dopiero, gdy Niemcy zaczęli masowo rozstrzeliwać zakładników francuskich, dowódca brygady odpowiedział odwetem. Zawiadomieni o grożącej egzekucji zakładników, "makiści" telefonowali do najbliższej komendantury niemieckiej ze swej kwatery w Antraigues i zapowiadali odwet na jeńcach w stosunku: trzech Niemców za jednego Francuza. Był to, okazało się, język, który Niemcy najlepiej rozumieli, bo egzekucje w rejonie Antraigues znacznie się zmniejszyły".

W przeciwieństwie do Francji Północnej, gdzie dawnych powstańców wcielono już przeważnie do wojska regularnego, na południu widzi się ich nadal bardzo dużo. Niektóre oddziały przeszły do miast i tam spełniają funkcje milicji; inne pozostały we wsiach i dzisiaj walczą z tak zwanym "nowym *Macquis*", ukrytymi w lasach oddziałami kolaboracjonistów i milicji Darnand'a zaopatrywanymi obecnie ze zrzutów niemieckich.

Polskich "maków" w górach już nie ma. Z chwilą ogłoszenia zaciągu ochotniczego do Wojska Polskiego zaczęli masowo spływać do miast, na punkty i stacje zborne; wielu z nich jest już dzisiaj w II-gim Korpusie we Włoszech, wielu innych czeka na transport.

Co dzień przybywają nowi.

Południowa Francja,
grudzień 1944

HALINA TOMASZEWSKA

Wypuścić reflektor!

Trzy ataki na okręty podwodne w jednym miesiącu i kilka pomyślnych spotkań z nocnymi myśliwcami wroga, to nie codzienne zdarzenie. Tym bardziej, gdy na zatopienie jednej "łodzi" w naszych warunkach pracy i naszej służbie wypada przeciętnie kilkaset wylatanych godzin. Mamy więc prawo się cieszyć i Dywizjon chodzi zadowolony jak rzadko. Ostatnia "łódź" poległa śmiercią /czort wie jak to Niemcy w języku fachowym określają/ w następujących okolicznościach:

Porucznik pilot Leopold A-niewicz, dowódca "Wellingtona" G, jak Gryzelda, zasypiał nad sterami. Po siedmiu godzinach lotu, wyczerpującej walki ze źle wystabilizowanym "gratem" i potworną, styczniową pogodą na Atlantyku, nieludzko zmęczony — zasypiał. Kiwał się za wolantem maszyny i w takt jego ruchów kiwał się "Wellington" podrywany ściągnięciem sterów i mroźnymi porywami dzikiego szkwału. Lodziło, za oknami kabiny szalała styczniowa wichura. Podbite, podkrążone wysiłkiem oczy śledziły mętnie strzałkę wysokościomierza jak wolno schodziła w dół. Przebijał chmury, by wyjść za strefy oblodzenia.

Ciągłe podrzuty maszyny i porywy wichru wykończyły załogę, więc trwali na stanowiskach w półśnie pół-jawie, bladzi, z półotwartymi ustami. Wyrzygali z siebie wszystko i strzelec już wymiotował żółcią. Wtem, jedno słowo obudziło tych ludzi . . . Kontakt . . .

—KONTAKT 5 mil, 80° w lewo . . .

I ta załoga, przed chwilą jeszcze zniszczona zmęczeniem i chorobą — jest świeża. Tak świeża jakby w tej chwili opuściła bazę. Zmęczenie pryska. Depesze: . . . pozycja . . . kurs . . .

Zwija się maszyna w ciasnym skręcie schodząc do wody.

—Kontakt 4 mile, 20° w lewo . . .

Poprawka kursu. Drży "Wellington" z dodaniem obrotów.

— . . . Wypuścić reflektor. Atakujemy . . .

Wysokie morze bryzga grzywami fal pod skrzydła maszyny przekreślając horyzont arabeską fluorescencji. Nad głową niskie strzępy chmur. Ciemno. Drzwi bombowe otwarte, Palce pilota na zwalniaczu bomb.

—Kontakt 1 mila, UWAGA . . . prosto . . .

— . . . Reflektor, zapalić reflektor.

Wąska struga światła przebija noc w obłędnym biegu po fali. Ułamki sekund stapiają się w napięcie. I . . .

—Jest . . . JEST!!!

Warkocz piany zakończony "łodzią". W poprzek kursu maszyny. Biały warkocz i siwa "łódź". Blask pali oczy . . .

—Strzela sukinsyn . . . uwaga . . . UNIKI! . . .

Nad samą wodą skrzyżowały się dwie smugi ognia. Gruba, zwielokrotniona — z okrętu, i smukła, magnezjowa — z samolotu. Nad samą wodą w sztywnych ramionach pocisków zapalających, w oślepiającym świetle reflektora szedł "Wellington" do ataku.

—BOMBY . . . Zgasić reflektor.

"Łódź" przemknęła pod lewym płatem maszyny. Głuchy odgłos wybuchów wstrząsnął "Wellingtonem". Zagrały tylne karabiny maszynowe. W blask wpadła ciemność . . .

Noc i świeże zwały niskich chmur na wodzie zakryły obraz walki. Wellington musiał wracać — wykonał swą robotę.

W trzy dni później samoloty "Mosquito" z *Coastal Command* znalazły w podanym miejscu ataku małą, prostokątną "dinghy" — typu, jakiego używają zwykle niemieckie okręty podwodne.

JERZY GŁĘBOCKI

Przez pryzmat peryskopu

Pierwsza nagroda w konkursie Związku Dziennikarzy R.P. na reportaż bojowy

SCHODZIMY POD WODĘ

Niespodziewany klakson do zanurzenia wyrwał mnie z milej drzemki poobiedniej. Zeskakując z koi, wdepnąłem piętą w masło na stole i wpadłem jeszcze pół śpiący do centrali. Zasapany sygnalista z migaczem w ręku kręcił kołem steru rufowego. Diesle już stoją, szef elektrykarzy zakręca wentylację bateryj. Błysnęło mdłe światełko kontrolne sterów dziobowych i równocześnie rozległ się powtórny klakson. Rzut oka na pompy telemotoru, otwarcie odwietrzników i . . . jazda na dół.

Podsłuchowiec w półpłaszczu i szaliku, majstrujący przy swoim aparacie, dziwnie śmiesznie wygląda na tle reszty półnagich, spoconych ludzi. W noc śródziemnomorską jest dość zimno na pomoście.

Po zamknięciu włazu "Toto" zszedł na dół nieco przejęty . . .

—Patrolowiec pruł prosto na nas . . .

—Zejdź "Dyziu" głęboko — mómi mi dowódca.

Pompując po trochu, wyważam okręt, prowadząc wzrokiem strzałkę manometru głębokościowego.

Podsłuch melduje śruby w namiarze 250°. Za chwilę wyraźne i dość szybkie "czach — czach" słychać gołym uchem wewnątrz okrętu . . .

—Słychać go dookoła — mówi podsłuch.

Przechodzi nad głową. Mimo woli każdy patrzy w sufit, jakby wzrokiem chciał zahypnotyzować mające upaść bomby.

—Zatrzymał maszyny, szuka nas . . .

W okręcie panuje przeraźliwa cisza, nikt nie śmie ruszyć się z miejsca.

Przeszedł jeszcze dwukrotnie nad nami, potem hałas jego śrub ucichł w oddaleniu.

Patrzę na zegarek: za kwadrans czwarta. Już się nie wynurzamy. Dziesięć po czwartej wychodzimy na peryskop.

—Szefie, czy bateria pełna?

—Pełna od trzeciej, panie kapitanie.

NASZA "KOLACJA" i NASZA "NOC"

Zostawiam "Tota" w centrali i idę do messy. Zapachy z kuchni pobudzają apetyt.

—Kucharz, kolacja!

—Będzie gotowa o czwartej.

Klnę w duchu ten patrolowiec, że odebrał nam przyjemność "ostatniego" papierosa przed normalnym rannym zanurzeniem. Teraz trzeba czekać aż do jedenastej wieczór. I to już drugi dzień z rzędu, wczoraj rano było to samo o tej samej godzinie!

—Ciekaw jestem, jak duża jest ta cholera? Może warto zaryzykować torpedę, żeby się odczepić od tego "anioła stróża".

Dowódca nic mi nie odpowiedział, lecz zajął się z powrotem partią szachów, rozgrywaną z "łącznikowym".

O czwartej "Maślak" szybko spałaszował kolację i poszedł zmienić "Tota". Zwolna zabieraliśmy się do spania. Zaczynała się nasza "noc", choć na świecie normalnym właśnie wstawało słońce na nieskazitelnym niebie Morza Śródziemnego . . .

WACHTA PRZY SŁOŃCU

O ósmej poszedłem na wachtę. Cztery godziny ślepienia przez szkła peryskopu na gładką, błękitną powierzchnię morza, na piękną zielenią pokryte górzyste wybrzeże, na którym wśród palm rozsiadły się białe domy miasta portowego. Czerwony żagielek kutra rybackiego pod brzegiem powiększał jeszcze wrażenie włoskiej idylli z pocztówki . . . Tylko nisko lecący klucz Junkers'ów brutalnie przywracał do rzeczywistości wojennej.

W okręcie było duszno i wściekle gorąco. Nastawiłem mały wentylatorek elektryczny nad peryskopem prosto w twarz i patrząc przez okulary na jarzący się słońcem świat, usiłowałem sobie wyobrazić, że to świeża bryza morska mnie chłodzi.

Szliśmy wolniutko w stronę portu. W miarę zbliżania widać było coraz wyraźniej krany, wielkie hale, magazyny. Wiele z nich nosiło ślady bomb amerykańskich. Wczoraj w nocy robiło to wrażenie efektownych fajerwerków, a dziś jeszcze dymią niektóre pożary.

O jedenastej czterdzieści dochodzimy do linii nakreślonej przez dowódcę na mapie. Zmieniamy kurs, teraz idziemy wzdłuż falochronu portowego. Przy samej latarni wejściowej na pół zatopiony wrak, w basenie wewnętrznym cztery statki. Widać tylko maszty znad falochronu, ale jedna para masztów jest dziwnie nienaturalnie przechylona . . .

Zaspany "Toto" z kubkiem kakao słucha jak powtarzam mu instrukcje dowódcy odnośnie nawigacji. Zna je na pamięć, bo jako nawigacyjny, sam je z "wodzem" wczoraj omawiał i układał.

—Wypraszam sobie tylko wszelkiego rodzaju samoloty i ścigacze, bo chcę spokojnie spać — mówię na odchodnym.

W messie dowódca otwiera jedno oko i pyta od poduszki.

—Spokojnie?

—Spokojnie — odpowiadam i idę pomyszkować w kuchni za czymś dobrym do jedzenia.

Do wieczora nic nie dzieje się nic ważnego.

WYCHODZIMY NA POWIERZCHNIĘ

Przed samym wynurzeniem dwie bomby z samolotu przetrzymują nas o godzinę dłużej pod wodą.

Robi się już bardzo duszno, bo kucharz gotuje bigos na obiad i kapusta cuchnie nie do wytrzymania. Wreszcie pada upragnione dowódcy:

—Wynurzenie na sterach!

—Szasować balasty!

Każę otworzyć zawór szasu tylko trochę, by wyjść na powierzchnię cicho jak duch . . . Nadciśnienie z sykiem ucieka przez otwarty właz, w ustach powstaje wstrętny smak gazów kwasu siarkowego. Z otwartej rury głosowej wlewają się do okrętu dobre dwa wiadra wody. Zawór na górze musi przepuszczać, cholera.

Ucisk w żołądku gwałtownie przypomina o prawach natury. W czasie zanurzenia nie można korzystać w pełni z "wygód" okrętowych. Ledwie rozległ się syk sprężonego powietrza do startujących Diesel'i, już zasunąłem za sobą drzwi od pełnej rur i zaworów klitki, t.zw. "Umywalni Oficerskiej". Przesiadując tam w niemej kontemplacji podziwiałem po raz tysięczny może skomplikowaną instrukcję używania tego przybytku. I zawsze nasuwała mi się ta sama myśl, iż brak punktu: "Opuść spodnie", która to czynność przy gorliwym wypełnianiu siedemnastu innych punktów, łacnie może ujść pamięci penitenta . . .

Po moim wyjściu była już ustalona kolejka następnych, przerwana jednak niedemokratycznie przez dowódcę, który zszedł z pomostu z lekkim skurczem na twarzy.

—Ja zaraz muszę wracać na pomost — rzekł arbitralnie — wy możecie poczekać. Pouważaj "Dyziu" przez chwilę w centrali . . .

Dopiero teraz zapaliłem papierosa. Pierwszy po wynurzeniu ma zawsze smak mieszaniny żółci, chloru i stęchlizny i gdyby nie to, iż wie się, że następne nie wywołują już tego smaku, to pewno podwodnicy byliby ludźmi niepalącymi w stu procentach.

W centrali ciemno, świecą tylko nikłe światła kontrolne i repetytor żyrokompasu. W ogłuszający huk Diesel'i wdziera się czasem pytanie sternika w tubę głosową:

—Pomost, czy można wynieść śmieci?!

A potem:

—Zygzak na kurs sto dwadzieścia!

Bosman okrętowy piekli się, że sygnaliści nie suszą płaszczy deszczowych, a tylko stłamsili je mokre pod stół nawigacyjny.

WACHTA PRZY KSIĘŻYCU

Po obiedzie trochę czytam "Potop" i wreszcie o drugiej idę na wachtę na pomost. Morze błyszczy w srebrnym blasku księżyca w pełni, widno jak w dzień.

—Uważaj dobrze — stereotypowo przestrzega mnie dowódca i idzie na dół.

Wciskam lornetkę w oczodoły i powolnym ruchem zaczynam zataczać kręgi wzrokiem po ostro odcinającym się horyzoncie. Obok mnie sygnalista pośpiewuje pod nosem jakąś dziwnie smętną melodię, lśniące, gładkie morze akompaniuje szumem w wycięciach pokładu. Białawą mgłą przykryty wysoki brzeg wydaje się uśpioną oazą spokoju.

Nagle jaskrawy słup reflektora strzelił pionowo w górę, zatoczył łuk po niebie, zgasł i następnie skierował oślepiający blask na morze.

—Nie sięgnie nas — pomyślałem i przestałem się nim interesować.

Czas wlecze się niemożliwie długo. Przytykam zegarek do ucha i słucham, czy przypadkiem nie stanął.

Cudowna noc. Siłą trzeba się powstrzymywać od rozmarzenia i zmuszać uwagę do napięcia.

POLUJEMY

Na samym brzegu kręgu w lornetce coś widać . . . Wracam wzrokiem w to miejsce i wolniutko sunę lornetką. Jest! Na drgającej srebrem księżyca powierzchni maleńka plamka . . . nie, krótka czarna kreska . . .

—Ster prawo dwadzieścia!

—Prawo dwadzieścia!

—Ster zero!

—Leży zero!

Dziób okrętu obraca się w prawo, ciemna smuga naszej anteny nachodzi na cel . . .

—Przygotować aparaty . . .

Tuż nad uchem słyszę nieco przyśpieszony oddech. Dowódca przybiegł na pomost.

—Widzisz? — pytam. — Prawo pięć, sylwetka.

—Jeszcze nie. Prowadź atak.

Widzę wyraźnie maszt, komin, Idzie w lewo.

—Ster lewo dziesięć! . . . Ster zero!

Sylwetka rośnie, widzę już działo na dziobie w masce . . . drugie na rufie . . .

—To nasz "anioł stróż" — mówi dowódca. — Puść mnie do celownika.

Z żalem usuwam się ze swego miejsca. Takbym chciał podać tę komendę: "PAL", która kosztuje osiem tysięcy funtów szterlingów!

Podałem na dół odstęp czasowy, nastawienie głębokości torped.

—"PAL"!!

Patrzę na ledwo widoczny, zda się żółwio-powolnie sunący ślad . . .

—Stój, przestań strzelać!

—Wyszły trzy torpedy!

Biaława pręga musnęła patrolowiec po dziobie . . . Nagle środek sylwetki rozżarzył się ogromnym pomarańczowym blaskiem, pokrył się półropuszem wytrysku wody . . .

Blask zgasł, do uszu doszedł głuchy, ponury stuk. Niekształtna, czarna masa szybko znikła w błyszczącej wodzie, zostało trochę drobnych, ciemnych plamek i wolno rozchodzące się koła . . . Po chwili morze wstrząsnęło się raz i drugi, woda spiętrzyła się w wytrysk — wybuchły bomby głębinowe patrolowca . . .

Złośliwy pomruk nalatującego samolotu zapędził nas pod wodę.

NIEUDANE PRZYMIERZANIE SIĘ DO STRZAŁU

I znów nadszedł dzień, długi, wolno wlokący się dzień, pełen rozszalałego blasku słońca, oglądanego jedynie przez peryskop . . . Znów jest duszno i znów od południa już spać nie można z braku powietrza, choć powieki same się kleją . . .

O piątej po południu "Maślak" woła dowódcę do peryskopu. Jest statek. Dwa tysiące ton. Obskurna łajba, brudna, z płatami czerwonej minii na ordzewiałych burtach. Śruba jej w wolnych obrotach tnie błękit morza, kotłując wodę za rufą.

—Świństwo takie parszywe, ale trzeba go jednak utopić — mówi dowódca. — Idziemy do ataku.

Zabrzęczały telegrafy do motorów, sternicy szybkimi ruchami kół sprowadzają okręt na większą głębokość.

—Trzy minuty tą szybkością . . .

Leniwie cykają sekundy na stoperze.

—Oba motory wolno . . . Peryskopowa . . .

Szybkie obejrzenie horyzontu dookoła . . .

—Psiakrew, zrobił zwrot o 130°, już go nie złapiemy, za daleko . . . Odbój alarmu bojowego!

Wracamy zawiedzeni do messy.

—Tu musi być punkt zwrotu w kanale między minami na wejście do portu — mówię.

—Tak, przesuniemy się dalej, bo inaczej wszystkie łajby będą nam w ten sposób wiały . . . Tej to mi nawet bardzo nie żal, że uciekła, bo to był cel diabła wart.

TYM RAZEM — W CELU!

"Toto" poszedł do kuchni zrobić kakao, "gęste i słodkie", jak mawia lubieżnie mlaskając wargami. Skomplikowanym manewrem gimnastycznym usiłowałem dostać się do szafki pod radioodbiornikiem, aby wyciągnąć chleb i sardynki. Jednak swego wyczynu akrobatycznego musiałem zaniechać, ponieważ "Maślak", piskliwym z emocji głosem obwieścił od peryskopu nowy cel.

Statek był ładny, półpasażer z imponującym balonem zaporowym na lince, świeżutko, czysto wymalowany na kolor bojowy. Przed nim zawzięcie zygzakował kontrtorpedowiec klasy "Maestrale".

—"Destroyer'a" nie sięgnę — mówi dowódca — rąbię łajbę.

Atak prosty, łatwy. Nagle po komendzie "Pal", dowódca jęknął, jak zarzynany bawół.

—A to cholera, zrobił zwrot od nas! Zostajemy na peryskopie, czekamy na wynik . . .

—Wyszły trzy torpedy!

"Wódz" wpatrzony w szkła peryskopu robi wrażenie, że chce przecisnąć się przez okulary, aby pomóc torpedom.

—Jest, trafiła jedna . . . I druga, w samą rufę!!

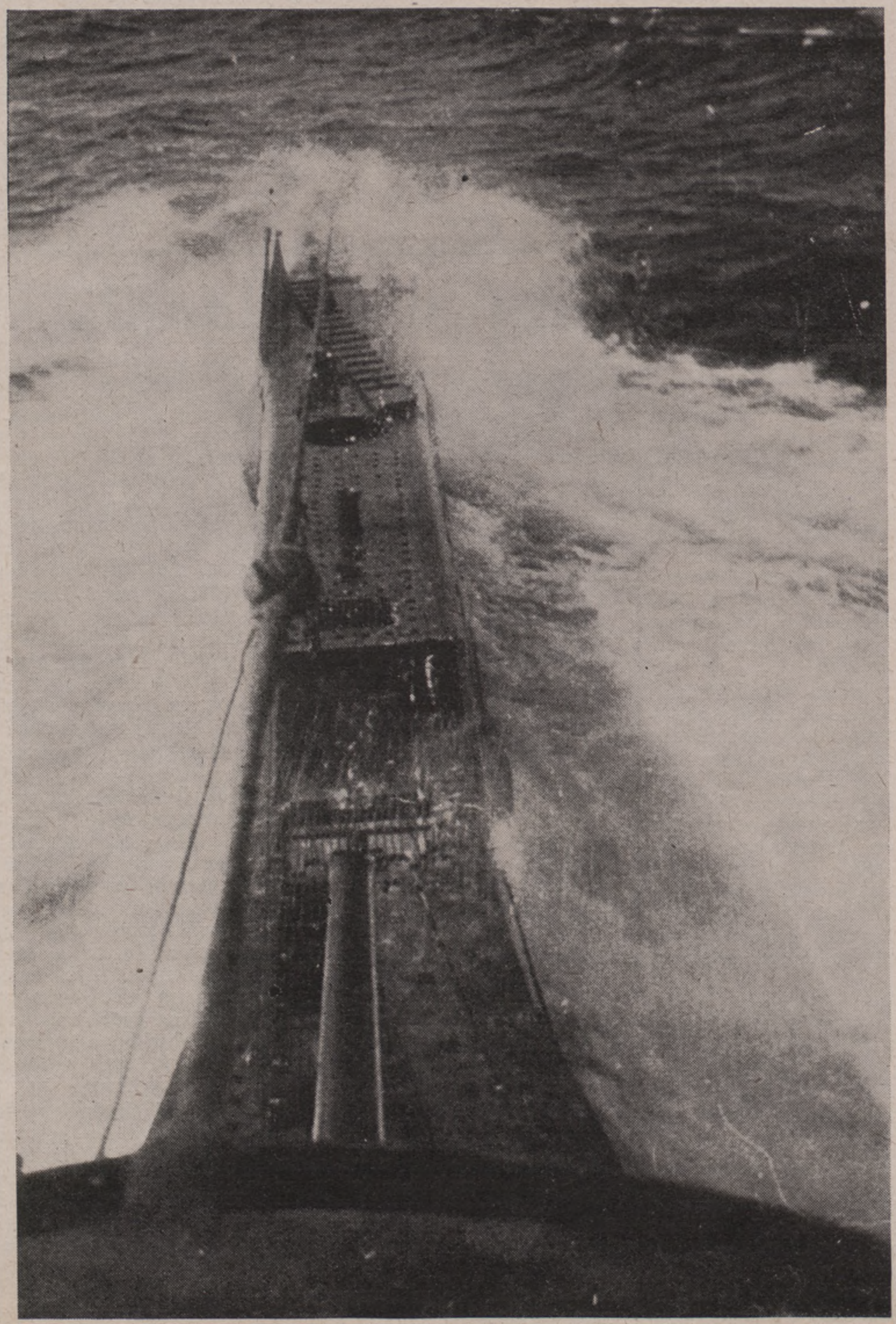
Głuchy stuk doszedł do naszych uszu.

—"Dyziu", wiej głęboko, "destroyer" wali na nas!

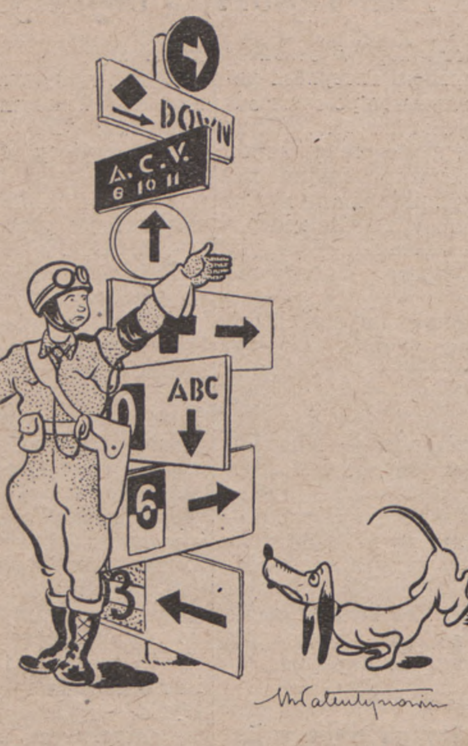
Za chwilę wstrząsnęły nami pierwsze bomby głębinowe . . .

ANDRZEJ GUZOWSKI

"Dzik" wynurza się z wody



Artykuł ku czci Regulacji Ruchu





Przemarsz dywizji pancernej, "jak sama nazwa wskazuje" odbywa się wozami pancernymi. A więc na przedzie, jak wyżły, śmigają rącze "Stewart'y", za nimi groźnie dudnią "Cromwele" lub same "Shermany", potem pełzną pancerne, ogąsienicone na tyły "haftraki", "skautkary" i "kariery". I tylko jedna ze służb, która w zasadzie nie walczy i nie strzela, wprowadza rozdźwięk w ten groźny, pancerny obraz. Jest nią Regulacja Ruchu. Pomimo że wyposażona jest jedynie w motocykle i ordynarne *jeep'y*, ozdobione niepoważnym i całkiem nie bojowym napisem *"Traffic control"* pęta się w pierwszej linii pomiędzy twardoskorupowymi wozami, wyprzedza, wymija, a zawsze się śpieszy, jest okropnie zajęta i zaaferowana.

Zresztą zadania ma bardzo poważne i odpowiedzialne: od niej zależy sprawność marszu, zachowanie należytego kierunku i obranie właściwej, wyznaczonej przez wyższe czynniki drogi, co zapobiega tworzeniu się t.zw. korków, błądzeń, no i przeciwdziała trafianiu — w ręce nieprzyjaciela.

Jadący *jeep'em*, zaraz za strażą przednią patrol Regulacji Ruchu zatyka w miejscach widocznych, a chytrze wybranych cały szereg tajemniczych, ale bardzo potrzebnych znaków: a więc czarne tabliczki z białymi strzałkami czy białe z czarnymi skierowane w prawo, w lewo, w górę, w dół lub w skos. Wszystko to ma swoje głębsze znaczenie, tak samo jak szereg, na poczekaniu przez szablony wypisanych tabliczek z pozornie bezsensownymi napisami: *"up"* *"down"* *"main"* *"spades"* *"diamonds"* czy *"London"*. Wtajemniczeni orientują się doskonale w tych kabalistycznych znakach, wiedzą co one oznaczają i skręcają w prawo, lewo, objeżdżają, zjeżdżają, zawracają, jak im ten zaaferowany pan z *jeep'a*, za pomocą tajemniczej tabliczki, rozkaże.

Praca jego jest żmudna, ciężka, odpowiedzialna, a całkiem nie efektowna i o tym, że Regulacja w ogóle istnieje ogół przypomina sobie, gdy coś "nawali". Wywalona przez nieostrożny czołg tabliczka, przespany napis — a co za tym idzie zgubiona trasa, opóźnienie, zatarasowanie czy zamieszanie, ściąga na głowę biednej Regulacji gromy i burze.

Gdy Dywizja utknie gdzieś na dłużej, wtedy ta pracowita służba każde skrzyżowanie ozdabia całą kolekcją znaków i znaczków. Zjawiają się wtedy i kolory i cyfry, wskazówki, napisy, skróty pozornie niezrozumiałe i t.p., a słupek taki wygląda jak drzewko świąteczne. Pod nim zaś stoi elagancko przybrany w białe oporządzenie młody człowiek i macha białymi rękawiczkami w prawo lub lewo, zatrzymując albo puszczając naprzód przeróżnego kalibru i rodzaju pojazdy wojskowe i cywilne.

Robi też to samo i w czasie akcji, w czasie forsownych marszów naprzód, gdy każdy się śpieszy, gdy drogi są często zaminowane, a więc trzeba na poczekaniu wyszukać dogodne objazdy, zaznaczyć je w sposób odpowiedni i widoczny, a wszystko to bardzo często pod ogniem artylerii i moździerzy. Nieprzyjaciel zna dobrze teren, który przed chwilą opuścił i dokładnie się orientuje, którędy będą szły nasze oddziały. Więc aby uniemożliwić marsz naprzód czy już chociażby mu przeszkodzić i opóźnić, wszystkie skrzyżowania, ważniejsze przejścia i wrażliwsze punkty pokrywa ogniem. Czołgi i pojazdy opancerzone przechodzą te miejsca drwiąc sobie z odłamków, które nie potrafią nawet zadrapać ich pancerza, ale biedny regulator, mając za ochronę jedynie własną, miękką, choć bardzo często "gęsią" skórę, musi stać na środku drogi i pilnować porządku. Nawet do dołka skryć się nie może, gdy idzie "seria", bo po pierwsze nie może zejść z posterunku, a po wtóre hałas ciężkich pojazdów, zgrzyt gąsienic i warkot motorów głuszy gwizd nadlatujących pocisków.

To też ułani z Regulacji Ruchu są to osoby zimnokrwiste, opanowane i mają bardzo silne poczucie obowiązku, gdyż potrafią zdusić w sobie zupełnie naturalny instynkt samozachowawczy w chwilach niebezpieczeństwa i nie pryskają do przydrożnych rowów.

A poza tym, dla swojej ciężkiej pracy, gdy często tyczą trasę pod ogniem, nocami, gdy stoją bez ruchu na skrzyżowaniach po kilkanaście godzin bez możności otrzymania posiłku i niezależnie od pogody są fizycznie zahartowani, wytrenowani i wytrzymali.

Są też i bardzo edukowani, gdyż muszą umieć czytać mapy w sposób doskonały, aby z nich wyszukać i odcyfrować wszystkie niezbędne im dane i wiadomości.

I nikt chyba tak świetnie, jak oni, nie zna i nie pamięta nazw wszystkich miast, miasteczek i wsi, które Dywizja w swym marszu mijała. Nikt też chyba nie ma tylu anegdotycznych wypadków i wydarzeń do opowiedzenia co oni. Warto z nimi porozmawiać.

Sam Szef na przykład, Matka Plutonu, często się chwali, jak to z rozpędu /ale nie *jeep'a*, jak złośliwie twierdzą podkomendni, gdyż Szef z zasady jeździ na włączonym reduktorze i na zaciągniętym ręcznym hamulcu/ minął kiedyś piechotę, czołgi, oddziały rozpoznawcze i we dwójkę, to jest on i *jeep*, chcieli przerwać linie nieprzyjacielskie. Niemcy podobno bardzo się oburzyli, że to niby już i "gołe" pojazdy ich atakują i ze złości spudłowali z 88 ppanc, a tylko parę pocisków "z całej nawały broni ręcznej i maszynowej" uszkodziło *jeep'a*, podziurawiło skrzynię kancelaryjną, a samego Szefa wpędziło do przydrożnego rowu, którym honorowo wycofał się do tyłu. Trzeba nadmienić, że ranny *jeep* jako i skrzynia, cenna nie dla zawartości papierowej, ale pewnego zdobycznego kielicha, który ma własną historię, zostały, pomimo kilkugodzinnego sterczenia o kilkanaście kroków od stanowisk nieprzyjaciela, odzyskane w stanie "niezrewidowanym". Niemcy tak zgłupieli na skutek tego tajemniczego ataku, że podejrzewając jakąś pułapkę, awansowali niewinny, uszkodzony *jeep* do stopnia co najmniej "żywej torpedy".

Plutonowy M. zaś od pewnego czasu nie lubi po ciemku wbijać tarcz kierunkowych. Nie chce o tym mówić, ale niedyskretni koledzy zdradzili mi tajemnicę. Datuje się ta jego niechęć od pewnej ciemnej nocy, gdy tycząc kierunek nie mógł w żaden sposób wbić jednej z tarcz. Stukał po niej młotkiem, i kładł się na niej całym ciałem — nic nie pomagało. Przydrożny grunt, pomimo że był miękki, nie poddawał się. Zdenerwowany i zły zdecydował zaświecić latarkę, aby zbadać powód swego niepowodzenia. Okazało się, że tym opornym gruntem był świeży niemiecki trupek. Od tego czasu plut. M. woli pracować przy świetle dziennym.

Lecz nie wszystkie przygody są tak makabryczne. Są i inne w których przydaje się szybka orientacja i decyzja. Kiedyś, gdy Dywizja pędziła przed sobą marszami pośpiesznymi cofających się Niemców por. K., mając za kierowcę ułana S. zechciał skrócić sobie drogą. Zjechał więc z głównej trasy i pomykał raźno laskiem w kierunku dowództwa brygady. Raptem za zakrętem wpada wprost na trzech Niemców ze *Schmeiserami*. Biedny miękkoskóry *jeep* musiał zdrętwieć ze strachu, lecz decyzja por. K. była momentalna. Krzyknął gromkim głosem: "na nich, gazu", ułan S. docisnął lewarek do deski, *jeep* odważnie skoczył naprzód, a Niemcy nie zdzierżyli tej szarży i, sromotnie rzuciwszy *Schmeisery* na ziemię, podnieśli ręce do góry. Por. K. wykrzyknął podobno wtedy jak Zagłoba pod Konstantynowem: "zdobyłem broń i jeńca".

Zresztą tych ostatnich Regulacja zbiera zwykle bardzo dużo. Ale najpoważniejszą ilość zdobyła "gdzieś we Francji", gdy "regulatorzy" zdecydowali się prowadzić wojnę na własną rękę. Otóż już po przejściu straży przedniej z pewnego lasu wzdłuż drogi odzywają się strzały. Jadące za czołgami i tyczące trasę *jeep'y "Traffic control'u"* odbywają naradę i decydują, że tak być nie może. Te sniperskie strzały mogą uszkodzić inne miękkie pojazdy łącznikowe lub motocykle, więc należy las oczyścić. Rada w radę i wspaniały oddział złożony aż z czterech "panów z regulacji", uzbrojonych w tak ciężką broń maszynową jaką są *Steen'y*, otworzył po lesie "morderczy" ogień. Czy coś tam Niemcom zrobili — bardzo w to wątpię, ale że im strachu zaleli za skórę — to pewne, bo raptem rozległy się przerażone okrzyki: *dont szut*. No i zakończony białą chorągwią oficer niemiecki zameldował się do niewoli ze 146 ludźmi . . .

Aż dwa *jeep'y* odprowadzały to towarzystwo do tyłu. Po drodze dołączył bratni patrol z 90 Niemcami, a jakimś cudem, na punkcie zbornym, jeńców okazało się nie 237, jak by to na zasadzie matematyki wynikało, ale 432.

Złośliwi twierdzą, że to *"resistance"* musiała do tej partii dołączyć swoją zdobycz, ale ułani klną się na wszystkie świętości, że nic podobnego nie było, a że nastąpiło takie sobie zwykłe, cudowne rozmnożenie, i że w ogóle matematyka w czasie wojny nie działa i wierzyć jej absolutnie nie można.

Mają oni, moim zdaniem, trochę racji w tym twierdzeniu, bo potrafią sami dwoić się i troić wykonując swoją ważną, choć cichą pracę. Jak oni to robią — na to nawet wyższa matematyka nie potrafi dać odpowiedzi. Jest to, jak i przygoda z jeńcami, tajemnicą skromnej Regulacji Ruchu.

MARIAN WALENTYNOWICZ

Polegli za wolność Polski, Francji, Belgii i Holandii.
ś.p.

bomb. JAN CZOPEK
poległ dnia . . . 8.44 pod Caen w Normandii.
kan. DANIEL SIKORA
poległ dnia . . . 8.44 pod Caen w Normandii.
bomb. PIOTR ŻARCZUK
poległ dnia . . . 8.44 pod Caen w Normandii.
ppor. ZBIGNIEW WOZACZYŃSKI
ranny dnia . . . 8.44 pod Cauvicourt w Normandii,
zmarł z ran w dniu 10.8.44.
por. WACŁAW MORAWSKI
ranny dnia . . . 8.44 pod Cauvicourt w Normandii,
zmarł z ran w dniu 11.8.44.
kpr. LUDWIK SARNES
poległ dnia . . . 8.44 pod Rouvres w Normandii.
ppor. MIKOŁAJ ORSINI
poległ dnia . . 8.44 pod Norrey en Auge w Normandii.
kan. WŁADYSŁAW KUCZARA
poległ dnia . . . 8.44 pod Chambois w Normandii.
por. KAZIMIERZ KULA
dowódca baterii Kawaler Orderu Wojennego "Virtuti Militari" V kl. odznaczony Krzyżem Walecznych,
ranny dnia . . . 10.44 pod Baarle Nassau w Holandii,
zmarł z ran dnia 8.10.44.
kan. JÓZEF KUCHARSKI
poległ dnia . . . 10.44 pod Bredą w Holandii.
kpr. FRANCISZEK KAŁWA
Kawaler Orderu Wojennego "Virtuti Militari" V kl.
poległ dnia . . . 10.44 pod Bredą w Holandii.
bomb. WACŁAW SIEROCKI
ranny dnia . . . 11.44 pod Terheijden w Holandii,
zmarł z ran dnia . . . 11.44.
kpr. JAN SZAREK
ranny dnia . . . 11.44 pod Terheijden w Holandii,
zmarł z ran dnia . . . 11.44.
O czym zawiadamiają
Dowódca, Oficerowie i Szeregowi
— Pułku Artylerii Motorowej.

Nad Mozą w Holandii

Z wojskami polskimi, w styczniu

Dopiero obecnie można ujawnić, że oddziały polskie, wchodzące w skład armii kanadyjskiej, ubezpieczają odcinek frontu nad Mozą w Holandii. W ten sposób rozwiewa się legenda, jakoby Polacy byli na odpoczynku lub co najmniej w odwodzie. Fakt, że się o nich nie pisało przez pewien czas, bynajmniej nie oznaczał, że nie walczyli. Był to po prostu nakaz operacyjny, używany zresztą często dla zmylenia nieprzyjaciela.

Po trzymiesięcznej kampanii francusko-belgijskiej, która została uwieńczona zdobyciem Bredy i dojściem do Mozy po brawurowym ataku na Moerdijk, oddziały polskie objęły front w Holandii z zadaniem patrolowania odcinka nadrzecznego. Wprawdzie na odcinku tym działo się niewiele, ale nie oznaczało to wcale, że Polacy mogli odpoczywać po przebytych trudach. O, jakże dalecy byli od tego wszystkiego, co składa się na odpoczynek.

Kraj zalany wodą, grząskie błoto, które ostatnio pod wpływem przymrozków zamieniło się w gołoledź. Zimne wiatry i częste opady. Kraj pusty, biedny, smutny, opuszczony. Akcja patrolowa trwała całymi tygodniami, a ostatnio przybrała na sile. W komunikatach sojuszniczych zaczęły się nawet ukazywać krótkie wzmianki o ożywionych walkach patroli. Każdy, kto był na wojnie, zdaje sobie sprawę z tego, ile taka krótka wzmianka oznacza trudu żołnierzy. Oznacza stan ciągłego pogotowia w dzień i w nocy, chodzenie na placówki, ubezpieczanie brzegów, wypatrywanie poprzez nie. I przy tym wszystkim . . . jeszcze przeraźliwą nudę.

W okolicy tej nie ma ludności. Została w całości wyewakuowana do tyłu. Małe miasteczko, po którym chodzimy, jest opustoszałe. Szkielety spalonych lub rozbitych domów wychylają się z każdej ulicy. Za chwilę właśnie ma się zacząć przeprawa naszych patroli przez Mozę. Po raz pierwszy za dnia.

Artyleria od kwadransa już daje wsparcie, a za chwilę nadlecą myśliwce, które zrzucą swe rakietowe pociski na niemieckie bunkry nadbrzeżne. Czołgi polskie ustawiły się wzdłuż wysokiego wału i walą na wprost. Huk jest nie do wytrzymania.

Słucham opowiadania o tragedii miasteczka. Tragedii tak nam znanej i niestety bliskiej. Jednej z miliona tragedii tej wojny. Niemcy wycofując się palili i rabowali wszystko. W ostatniej już niemal chwili, pod ogniem artylerii sojuszniczej zdołali cynicznie i podstępnie namówić uciekających w popłochu Holendrów, aby schronili się w kościele. Tam będą zupełnie bezpieczni — zapewniali chytrze. Sto trzydzieści cztery osoby uwierzyły słowu niemieckich złoczyńców. Zamknięto ich w kościele i . . . wysadzono w powietrze. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Ciała ich leżeć muszą pod gruzami zawalonego kościoła.

Nasze patrole już przepłynęły rzekę. Walczą po drugiej stronie, starając się umiejscowić gniazda obrony niemieckiej. Artyleria niemiecka nie odpowiada. Strzelają jedynie karabiny maszynowe i artyleria plot. Minuty wydają się nam godzinami. Ukryci w rowach wykopanych w nadbrzeżnym wale coraz to podnosimy głowy i staramy się poprzez gęstą zasłonę zadymienia obserwować naszych.

Walka trwa. Dowódca patrolu został trafiony jeszcze w łodzi. Ciało jego przeleciało przez burtę i wpadło do wody. Zginął. Są też ranni. Właśnie płynie teraz łódź, żeby ich zabrać. Huk dział jest tak potężny, że nie słychać nic.

Nowe dymy zasłaniają wszystko. To osłona powrotu. Jakże ciężko pracują wiosłami, mocując się z prądem. Są już coraz bliżej i bliżej. Jeszcze dwadzieścia metrów, jeszcze dziesięć, jeszcze krok. Teraz trzeba wyskoczyć, złapać łódź i szybko, najszybciej wdrapać się na wał. Dopiero za nim jest bezpiecznie. Już są na szczycie, jeszcze jeden metr, aby zsunąć się tam, gdzie na nich czekamy. I wtedy zły los trafia sapera. Dostał w pachwinę z cekaemu. Wyje z bólu okropnie, zanim nie zemdleje, zalany krwią.

Wypad skończony. Rozprzężają się nerwy. Na brzegu pozostają znów tylko posterunki. Tak mało — patrole dokonały rozpoznania na północnym brzegu Mozy. To wszystko, cośmy przeżyli, zamknie się w małej, niewiele mówiącej wzmiance komunikatu.

MACIEJ FELDHUZEN

Skrzynka pocztowa

LIST OTWARTY DO P.T. NASZYCH ŻOŁNIERZY, LOTNIKÓW, MARYNARZY ORAZ MŁODZIEŻY

Drodzy Koledzy!

W "Dzienniku Polskim" z dnia 19 grudnia p. W.Cz. narobił trochę wiatru dokoła mojej małej osoby. Mógłbym z łatwością pogniewać się na p. W.Cz., bo i poco tyle hałasu, skoro chodziło o rzecz drobną: o wyszukanie wśród Was kilku do nawiązania korespondencji z przyjaznymi nam Anglikami, vel Angielkami. Ale zapomniałem dość szybko o doznanych "krzywdach", a to ponieważ dzięki inicjatywie p. W.Cz. z małej rzeczy może zrodzić się rzecz większa. Czy uwierzycie, że zamiast oczekiwanych pięciu czy sześciu zgłoszeń, otrzymałem ich 46 do końca grudnia tylko, po Nowym zaś Roku wpłynęło ich jeszcze kilka? Ten niespodziewany plon natchnął mnie nową myślą, a mianowicie: że Wasz młody zapał należało by wykorzystać dla wyższej sprawy — dla dobra Polski i w tej właśnie myśli piszę do Was co następuje:

W ciągu ostatnich dwu czy trzech lat wygłosiłem ponad czterysta odczytów o Polsce dla społeczeństwa angielskiego, dla młodych i dla starych. Dość często spotykałem się z życzeniem ze strony angielskiej nawiązania korespondencji z Wami. Szereg "par" skojarzyłem w ten sposób, ale mówiąc szczerze nie paliłem się do tej roboty, bo znam nasz polski wstręt do pióra, fałszywy wstyd z niedoskonałej angielszczyzny, a co najgorsze, że wielu z Was nie lubi w ogóle odpowiadać na listy. Będzie z tego więcej szkody, niż pożytku — myślałem.

Ale też myślałem i nadal myślę, że robiłem niedobrze, że trzeba było chociaż próbować. Dlaczego? Wiemy to najlepiej w obecnej ciężkiej sytuacji politycznej. Teraz, jak nigdy przedtem, zależy nam na poparciu tutejszej opinii publicznej dla spraw polskich, a rzeczywistość jest taka, że przeciętny Anglik nie ma o tych sprawach nawet tak zwanego "zielonego pojęcia". Wie on znikomo mało o Waszych wyczynach na polu walki; jeszcze mniej wie o naszym Kraju, o Lwowie czy Wilnie. Lepiej natomiast jest Anglik poinformowany o tym n.p., jak mało Polaków /a za to jak dużo Rosjan/ mieszka na wschód od t.zw. linii Curzona; że Rosja ma jednak prawa do Lwowa, "zabranego" jej w roku 1920; że przecież Polacy otrzymują taki piękny Gdańsk i całe Prusy Wschodnie . . . "na zachód i południe od Królewca", więc po co robią tyle hałasu o jakąś tam "mizerną i podupadającą prowincję lwowską?" Mógłbym Wam wyrecytować bardzo długą litanię w tym stylu: o landlordach, o feudalnym systemie, o Cieszynie, o Żydach i t.d. i t.p.

Czy nie sądzicie, Drodzy Koledzy, że przy odrobinie organizacji oraz dobrej woli moglibyśmy, a może nawet powinniśmy wreszcie My zacząć coś robić? Zdobyć się na jakiś wysiłek zbiorowy? Spokojnie i bez hałasu, bo to na rynku tutejszym nie popłaca i Anglicy lubią słuchać tylko ludzi spokojnych i opanowanych.

Zacząć, ale jak? Oto moja myśl. Ja "dostarczę" Wam tysiąc lub więcej Anglików, przeważnie młodych, chcących korespondować z Wami, dowiedzieć się prawdy o Was i o Polsce. Myślę, że wśród Was znajdę powiedzmy kilkuset młodych, pełnych zapału i wiary, z jaką-taką, choćby i słabą znajomością angielskiego. Zaczęlibyśmy od zwykłych listów o pogodzie, sprawach osobistych i t.p., ale na tym zapewne się nie skończy. Czy nie dostrzegacie korzyści dla sprawy polskiej? Tysiąc lub więcej naszych osobistych przyjaciół wśród Anglików promieniowałoby wiedzę i wiarę w Polskę na dalszych kilka tysięcy, ci zaś na dalsze rzesze.

Powiecie może: są na to książki, jest Ministerstwo Informacji. Zgoda, odpowiem, ale zato z drugiej strony żadna książka czy broszura nie zastąpi żywego, osobistego kontaktu, zresztą książka musi być dana przez kogoś i to przez kogoś życzliwego, przy jakiejś okazji, a nie przez Ministerstwo Informacji jako materiał propagandowy. Proszę mi uwierzyć na słowo /a mam trochę doświadczenia w tej sprawie/, że Anglik boi się wszelkiej propagandy, jak diabeł święconej wody . . .

A zatem żywe słowo i przyjacielski kontakt, na razie listowny, z czasem żywy, osobisty. Będzie to z pożytkiem dla Polski, a Wy sami też odniesiecie pewne korzyści osobiste: rozszerzycie Wasze horyzonty myślowe, pogłębicie znajomość angielskiego, często gęsto zaproszą Was na *cup of tea*, czy na *week-end*, tu i ówdzie trafi się zaproszenie na kilka miłych dni urlopu; miło mieć będzie po wojnie bliskich przyjaciół w tym kraju, do których można będzie po latach zawitać jak do starych, dobrych znajomych.

A więc, Drodzy Koledzy, do dzieła, a "dzieło" jest bardzo proste. Napiszcie do mnie kilka słów, a podam każdemu z Was szczegóły o Brytyjsko-Polskim Klubie Korespondencyjnym, organizowanym przez dwie osoby: Miss Jean Braid, wypróbowaną przyjaciółkę Polski, która zajmie się stroną angielską, moja zaś skromna osoba będzie robiła co się da, aby "przezwyciężyć bezwładność duszy polskiej" /Żeromski/. Bez kosztów — dla ścisłości wyniosą tylko około 6d. — bez regulaminów, bez zebrań.

Jakich kwalifikacyj żądamy? Dwie są wymagane: 1/ jaka taka znajomość angielskiego — może być nieduża, Anglicy wybaczą nam nasze błędy językowe, 2/ jaka taka solidność osobista, dająca gwarancję, że każdy list angielski doczeka się odpowiedzi w ciągu najwyżej dwu tygodni.

I jeszcze jedna sprawa na zakończenie. Jesteśmy pewni, że nie zawiedzie nas strona brytyjska. Ludzie tutejsi nie patrzą wilkiem jeden na drugiego, szukają wzajemnych kontaktów, dążą do wzajemnego ułatwienia i uprzyjemnienia życia. Nie jestem w tym samym stopniu pewien strony polskiej: naszą rasę cechuje w dużym stopniu sobkostwo, zawiść wzajemna, nieufność i niechęć.

Wierzę jednak, że młodymi siłami i przy odrobinie dobrej woli dokonamy czegoś. Toteż jak widzicie apeluję przede wszystkim do Was, młodych. Zależy nam na zgłoszeniach ludzi młodych, pełnych zapału, tych, co jeszcze nie stracili wiary w życie i w człowieka. Zależy nam bardzo na zgłoszeniach od żołnierzy z oddziałów walczących, od lotników, marynarzy, od rannych w szpitalach. Chętnie byśmy widzieli w naszym gronie jak najwięcej młodych Polek, tych zwłaszcza w mundurach — będą one miały powodzenie gwarantowane, obawiam się, że aż za duże. Liczymy na całą bez reszty młodzież z uniwersytetów, i szkół średnich, od lat powiedzmy piętnastu wzwyż, nie chcielibyśmy bowiem, aby strona angielska przewyższała nas zbyt rażąco poziomem intelektualnym. Wreszcie chcielibyśmy wierzyć, że nie zabraknie również zgłoszeń od pokolenia starszego, od tych przynajmniej, co ponad wzajemne ujadania się i pranie własnych brudów na obcej ziemi, przenoszą chęć robienia czegoś pożytecznego dla Wspólnej Sprawy.

Piszcie zatem gromadą do mnie i to bez straty czasu, zaraz. Zebranie i zestawienie angielskich i polskich adresów zajmie sporo czasu, druk jeszcze więcej, a chcielibyśmy rozpocząć rozsyłanie list z adresami w początku marca najpóźniej. Następne listy nie będą mogły być drukowane zbyt często z uwagi na liczne trudności czasu wojennego.

Adres mój jest: Mr. W. Swicz, 3, Novar Crescent, Kirkcaldy, Fife. Nie zapomnijcie podać Waszego adresu zwrotnego, oraz możliwie czytelnego podpisu, gdyż inaczej trudno mi będzie zdobyć się na odpowiedź.

Liczę na Wasze poparcie i łączę dużo serdeczności

W. Swicz

JESZCZE O CHAMBOIS

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając w nr. 50 "Polski Walczącej" sprostowanie p. Władysława Zgorzelskiego na temat, kto właściwie zdobył Chambois, pragnę dodać ze względów zasadniczych fakt, który nie został uwzględniony w sprostowaniu, a który usprawiedliwia w części nieścisłość "listu Francuza", opisującego walkę o Chambois. Jako uczestnik tychże walk stwierdzam, że na dzień lub dwa, zanim zdobyto Chambois, wydzielono oddział, złożony z 3-go szwadronu 10 P.S.K. oraz 1-go Dyonu Ppanc, który miał przejść terenem zajętym przez n-pla, unikając walk, i spotkać się z wojskami amerykańskimi w Chambois.

Oddział ten zbliżył się do Chambois na odległość 400 metrów i obserwował dosłownie płynącą rzekę wojsk niemieckich, które pod ogniem naszych armat zostały zupełnie zdezorientowane i podejmowały próby przeciekania wokół miasta w postaci drobnych grupek żołnierzy Wehrmachtu.

Niestety dzień powoli przemijał w ogniu walki, jednak żadnych oznak zbliżania się do miasta wojsk amerykańskich nie było, natomiast napór nieprzyjaciela zdecydowanie stężał, bowiem zorientował się on w końcu, że ma do czynienia z oderwaną i stosunkowo b. małą grupą pancerną. Wobec takiego stanu rzeczy, dowódca oddziału wydzielonego, rtm. C.W., postanowił dotrzeć do dość odległej miejscowości, w której znajdowały się oddziały naszej Dywizji, zabierając przy tym z sobą znaczną liczbę jeńców, wziętych do niewoli w ciągu dnia.

Dodaję, że w ciągu dnia, w którym staliśmy niejako "pod bramami" Chambois, wielu jego mieszkańców, nie zważając na toczącą się walkę, przekradało się do nas, aby nam ofiarować chorągiew w kolorach francuskich i . . . może już ostatnią butelkę czerwonego wina.

Kazimierz Topór-Staszak

PODZIĘKOWANIE

Koło Opieki nad Żołnierzem składa podziękowanie:

pani Margaret Gibbons, Prince of Wales Hotel, De Vere Gardens, za książki, papierosy, jabłka, kupony na mydło, dla rannych żołnierzy.

pani A. L. Follain, 78, Campden House, Peel Street, W.8 za przesłanie £1 dla rannych żołnierzy.

Kącik językowy

Szanowni Panowie. Uprzejmie proszę o poradę w następującej sprawie. Często stykam się z wyrażeniami w rodzaju: "jak by nie było", "gdzie by nie popadło"; "kto by nie przyszedł, drzwi muszą pozostać zamknięte"; "jak byś nie pracował, majątku nie zrobisz" i t.p. Wyczuwam, że są to zwroty wadliwe, niełatwo jednak zastąpić je zdaniami poprawnymi. Będę szczerze zobowiązany za wskazówkę /B.S., Oxford/.

—Wszystkie podane przez Pana przykłady należą do tej samej kategorii. Są to wyraźne rusycyzmy, których należy starannie unikać. Wydają się bardzo rażące, toteż dziwić się należy, że spotyka się je stosunkowo często. Podajemy zacytowane zdania w brzmieniu poprawnym:

1/ "jakkolwiek by było" lub: "jakkolwiek będzie";

2/ "gdziekolwiek się zdarzy" lub: "na chybił trafił";

3/ "ktokolwiek przyjdzie, drzwi muszą być zamknięte";

4/ "jakkolwiek będziesz pracował, majątku nie zrobisz", "choćbyś nie wiem jak pracował", lub: "bez względu na to, jak będziesz pracował, majątku nie zrobisz".

W ten sam sposób należy radzić sobie w innych podobnych przypadkach.

Czy wolno mówić: "swoim porządkiem"? /pani J. Sz., Londyn, N.W.7/.

—Nie. Podane przez Panią wyrażenie jest przykrym rusycyzmem /swoim pariadkom/. *Po polsku mówi się: "swoją drogą".*

Jak należy mówić: "koszty" czy koszta"? /st. strz. St. K./.

—Końcówka "a" dla mianownika liczby mnogiej występuje wyłącznie w rzeczownikach rodzaju nijakiego. Wynika stąd, że należy mówić i pisać "koszty". Podobnie jedynie poprawnymi formami są: "bilety" /nie "bileta"/, "kajety", "zeszyty", "albumy", "fakty" i t.p. Liczba mnoga wyrazu "akt" brzmi rozmaicie zależnie od znaczenia, w jakim tego słowa używamy; sztuka teatralna dzieli się na "akty", artysta rzeźbi "akty" kobiece, natomiast w kancelarii przechowuje się "akta".

Proszę o łaskawe wyjaśnienie następujących pytań: 1/ a) mówi się: gram w bilard, w karty, w piłkę nożną. Który to przypadek gramatyczny, gdy mówimy: gram w brydża, w pokera, w tenisa? b) mówi się: wygrałem pieniądze, ale: wygrałem dużego szlema. c) mam pieniądze, złotówkę, ale: mam złotego, funta. 2/ "Co godzinę", ale: "co roku" — dlaczego? 3/ Pisze się "doktor" czy "doktór"? /Edinburgh Kpt. T.M./

—Wszystkie przykłady, podane w pytaniach, 1 i 2, są poprawne. Jeśli chodzi o wyrażenia: gram w brydża, w pokera, w tenisa, mamy tu niewątpliwie do czynienia z przypadkiem czwartym. Niektóre rzeczowniki nieżywotne mają przypadek czwarty podobny do drugiego tak, jak to dzieje się stale z rzeczownikami żywotnymi. Obok zwrotu "co roku" używa się również wyrażenia "co rok", które wydaje się zupełnie poprawne.

Należy pisać: doktor.

Dokładniejsze wyjaśnienia przesyłamy listownie.

Jak należy mówić i pisać: "smalec" czy "szmalec". /Z.M. Londyn/.

—Sprawę wymowy i pisowni należy rozważyć osobno. Pisownia powinna być w zasadzie jednolita; przemawiają za tym różne względy społeczne. Natomiast w stosunku do różnic wymowy dopuszczalna jest większa wyrozumiałość. Co do pisowni, obowiązuje forma "smalec". W mowie potocznej spotyka się obie odmiany tego wyrazu.

Jak należy mówić: "autorzy, doktorzy", czy "autorowie, doktorowie". /K.P., Blackpool/.

—Obie formy są dopuszczalne. Trudno ustalić jakąś zasadę ogólną. Weźmy dla ilustracji dwa inne rzeczowniki o jednakowym zakończeniu: saper, oficer. Mówimy z jednej strony zawsze: "saperzy", z drugiej zaś strony znamy tylko formę "oficerowie".

Uprawnienia żołnierza inwalidy

Uprawnienia żołnierza inwalidy zwolnionego z wojska regulują następujące przepisy:

1/ umowa polsko-brytyjska z dnia 18 maja 1943 r. o zaopatrzeniu,

2/ zarządzenie Ministra Pracy i Opieki Społecznej z dnia 12 listopada 1943 r.,

3/ zarządzenie tegoż ministerstwa z dnia 31 grudnia 1943 r.

Ad 1/. W myśl umowy polsko-brytyjskiej żołnierzowi polskiemu przysługują te same uprawnienia, jakie przysługują żołnierzowi Armii Brytyjskiej. Do wypłaty zaopatrzenia jest zobowiązany w stosunku do inwalidy Rząd Polski z tym, że na czas trwania wojny z Niemcami potrzebnych kredytów na ten cel zobowiązany jest udzielić Rząd Brytyjski. Kwestia dalszej pomocy finansowej Rządu Brytyjskiego po tym terminie ma być przedmiotem nowej umowy pomiędzy oboma Rządami. Wysokość zaopatrzenia inwalidzkiego z niniejszej umowy podana jest poniżej w tabeli w rubryce *"Ministry of Pensions"*.

Ad 2/. Zarządzeniem tym przewidziane są dodatki do zaopatrzenia dla żołnierzy inwalidów przebywających na terenie W. Brytanii, płacone przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej ze Skarbu Polskiego. Są to następujące dodatki: zasadniczy, rodzinny, wyrównawczy, na dożywianie, szpitalny, na naukę i dla ciężko poszkodowanych. Wysokości dodatków zasadniczego i rodzinnego są podane w poniższej tabeli pod rubrykami "świadczenia rodzinne" i "dodatek zasadniczy".

Inwalida, którego żona i dzieci są uchodźcami z Kraju nie otrzymuje dodatku rodzinnego, natomiast rodzina jego ma prawo do otrzymywania świadczeń przewidzianych dla uchodźców.

Inwalida pracujący i zarabiający otrzymuje dodatek wyrównawczy w wysokości równej różnicy między kwotą £4.5.0 a sumą zarobku i zaopatrzenia inwalidzkiego — jeżeli jego zarobek tygodniowy wraz z zaopatrzeniem inwalidzkim wynosi mniej niż £4.5.0.

Dodatek na dożywianie w wysokości od £2 do £4 miesięcznie można przyznać inwalidzie, który ze względu na stan zdrowia niezdolny jest do pracy i wymaga specjalnego odżywiania. Konieczność specjalnego odżywiania winna być stwierdzona zaświadczeniem lekarza.

Dodatek szpitalny przysługuje inwalidzie w wysokości 14/- tygodniowo w czasie leczenia w szpitalu, kiedy nie pobiera innych dodatków.

Dodatek na naukę może zostać przyznany studentom wyższych uczelni, uczniom oraz uczestnikom kursów w wysokości ustalonej przez inne zarządzenie.

Inwalidom, którzy utracili zdolność fizyczną lub umysłową w wysokości 40% wskutek rany lub uszkodzenia zdrowia w boju lub podczas niebezpiecznych ćwiczeń, może zostać przyznany dodatek 10/- tygodniowo.

Ad 3/. Stwierdza, że opiekę nad inwalidami wykonuje w imieniu Rządu Polskiego Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej tudzież zawiera przepisy dotyczące wszelkiej innej opieki świadczonej przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej poza świadczeniami pieniężnymi. Są to: pomoc lekarska, szkolenie i przeszkalanie zawodowe, pomoc w wyszukiwaniu odpowiedniej pracy, rozmieszczenie osób zwolnionych z wojska.

Komplety odnośnych przepisów są w posiadaniu oficerów opieki każdego oddziału, u którego każdy zainteresowany żołnierz otrzymać może szczegółowe dane.

STAWKI ZAOPATRZENIA INWALIDZKIEGO WEDŁUG PRZEPISÓW BRYTYJSKICH WRAZ Z PRZEWIDZIANYMI DODATKAMI DLA NIEMOGĄCYCH PRACOWAĆ.

Utrata zdolności zarobkowej	Ministry of Pensions sh.d.	Dodatek zasadniczy sh.d.	Razem sh.d.	Świadczenia rodzinne: żona sh.d.	razem sh.d.	1 dziecko sh.d.	razem sh.d.
Klasa V. L.A.C. and Aircraftman Szeregowiec, St. szeregowiec.							
100	40/-	29/-	69/-	10/- 4/-	83/-	7/6 5/-	95/6
90—99	36/-	29/-	65/-	9/- 5/-	79/-	6/9 5/-	90/9
80—89	32/-	29/-	61/-	8/- 6/-	75/-	6/- 5/-	86/-
70—79	28/-	29/-	57/-	7/- 7/-	71/-	5/3 5/-	81/3
60—69	24/-	29/-	53/-	6/- 8/-	67/-	4/6 5/-	76/6
50—59	20/-	29/-	49/-	5/- 9/-	63/-	3/9 5/-	71/9
40—49	16/-	29/-	45/-	4/- 10/-	59/-	3/- 5/-	67/-
30—39	12/-	29/-	41/-	3/- 11/-	55/-	2/3 5/-	62/3
20—29	8/-	29/-	37/-	2/- 12/-	51/-	1/6 5/-	57/6
Klasa IV. Corporal Kapral.							
100	43/4	29/-	72/4	—	86/4	—	98/10
90—99	39/-	29/-	68/-	—	82/-	—	93/9
80—89	34/8	29/-	63/8	—	77/8	—	88/8
70—79	30/4	29/-	59/4	—	73/4	—	83/7
60—69	26/-	29/-	55/-	—	69/-	—	78/6
50—59	21/8	29/-	50/8	—	64/8	—	73/5
40—49	17/4	29/-	46/4	—	60/4	—	68/4
30—39	13/-	29/-	42/-	—	56/-	—	63/3
20—29	8/8	29/-	37/8	—	51/8	—	58/2
Klasa III. Sergeant Plutonowy							
100	46/8	29/-	75/8	—	89/8	—	102/2
90—99	42/-	29/-	71/-	—	85/-	—	96/9
80—89	37/4	29/-	66/4	—	80/4	—	91/4
70—79	32/8	29/-	61/8	—	75/8	—	85/11
60—69	28/-	29/-	57/-	—	71/-	—	80/6
50—59	23/4	29/-	52/4	—	66/4	—	75/1
40—49	18/8	29/-	47/8	—	61/8	—	69/8
30—39	14/-	29/-	43/-	—	57/-	—	64/8
20—29	9/4	29/-	38/4	—	52/4	—	58/10
Klasa II. Flight Sgt. Sierżant							
100	50/-	29/-	79/-	—	93/-	—	105/6
90—99	45/-	29/-	74/-	—	88/-	—	99/9
80—89	40/-	29/-	69/-	—	83/-	—	94/-
70—79	35/-	29/-	64/-	—	78/-	—	88/3
60—69	30/-	29/-	59/-	—	73/-	—	82/6
50—59	25/-	29/-	54/-	—	68/-	—	76/9
40—49	20/-	29/-	49/-	—	63/-	—	71/-
30—39	15/-	29/-	44/-	—	58/-	—	65/3
20—29	10/-	29/-	39/-	—	53/-	—	59/6
Klasa I. Warrant Off. 2nd Class St. sierżant							
100	53/4	29/-	82/4	—	96/4	—	108/10
90—99	48/-	29/-	77/-	—	91/-	—	102/9
80—89	42/8	29/-	71/8	—	85/8	—	96/8
70—79	37/4	29/-	66/4	—	80/4	—	90/7
60—69	32/-	29/-	61/-	—	75/-	—	84/6
50—59	26/8	29/-	55/8	—	69/8	—	78/5
40—49	21/4	29/-	50/4	—	64/4	—	72/4
30—39	16/-	29/-	45/-	—	59/-	—	66/3
20—29	10/8	29/-	39/8	—	53/8	—	60/2
Klasa Warrant Off. Class I. Chorąży							
100	56/8	29/-	85/8	—	99/8	—	112/2
90—99	51/-	29/-	80/-	—	94/-	—	105/9
80—89	45/4	29/-	74/4	—	88/4	—	94/4
70—79	39/8	29/-	68/8	—	82/8	—	92/11
60—69	34/-	29/-	63/-	—	77/-	—	86/6
50—59	28/4	29/-	57/4	—	71/4	—	80/1
40—49	22/8	29/-	51/8	—	65/8	—	73/8
30—39	17/-	29/-	46/-	—	60/-	—	67/3
20—29	11/4	29/-	40/4	—	54/4	—	60/10

Uwagi:

1/ Stawki rodzinne brytyjskie i polskie obliczone dla klasy V. są jednakowe dla wszystkich klas.

2/ W rubryce świadczenia rodzinne kwota podana u góry obliczona jest według stawek brytyjskich; kwota podana u dołu według projektowanych dodatków.

3/ Brytyjskie projekty ustawodawcze przewidują dodatek szyl. 10/- dla osób całkowicie niezdolnych do pracy. Dodatków z tego tytułu nie włączono do tabeli, ponieważ projekt brytyjski nie jest jeszcze ustawą i może ulec zmianom.

NA PACZKI OD SERCA DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

W odpowiedzi na apel Sekcji Pomocy Jeńcom Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet w imieniu Karola Bagsika oraz swoim przesyłam przekaz pieniężny na sumę £1.

Powyższą kwotę proszę przekazać na "Paczki od Serca dla Jeńców z Armii Krajowej".

J. Kieszowski

* * *

W załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £3 sh.11 d.3, zebraną samorzutnie przez żołnierzy 1 Kompanii grupy specjalnej na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

Komendant Obozu kapitan K.R.

* * *

Por. J. Hick z S. przesyła £1 /jeden funt/ na paczki dla jeńców — zamiast życzeń świątecznych dla przyjaciół.

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

DLA POLAKÓW W ROSJI

£2 na pomoc dla rodzin polskich w Rosji.

Leopold Kilarski

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sirs,

Please find enclosed herewith three Postal Orders value £1.5.6, the proceeds of the sale of a few small articles made and sold by myself in aid of your "Polish Children Rescue Fund".

Yours faithfully,

Joan Szreiber /Mrs./

* * *

Załączam czek na sumę 2-ch gwinei /two Gwineas/ przesłanych przez p. James Wilson z przeznaczeniem na Polish Children of Warsaw Rescue Fund.

Oficer Opieki J.M.

Na pomoc Warszawie: £2,129

Dear Sir,

I enclose herewith a donation of £5 towards your "Relief of Warsaw" Fund.

This you owe not so much to me, as to the generosity of a Polish lady who, with her little daughter and /before he went to Normandy/ her husband, has been an inmate of my household for some considerable time now.

Being somewhat puzzled as to what might prove an acceptable Christmas present from me, and being sure that she no longer believes in Father Christmas, I asked her what she would like.

She replied without even a moment's hesitation, "A contribution to the Warsaw Relief Fund". This pleased me very much; firstly, because her attitude is so clearly in line with the self-sacrificing and determined spirit displayed by the Polish forces; and, secondly, because her request enables me to pay homage to the Polish Nation, and to herself as a member thereof, on a scale slightly more liberal than might have been proper in a less impersonal tribute.

Yours truly,

J. P. Bannerman, M.B., Ch.B.

* * *

Dear Sir,

Will you please accept the enclosed Postal Order £1 on behalf of the citizens of Warsaw, particularly those interned in the concentration camp. I should be especially grateful if some little orphan child could benefit thereby.

Yours faithfully,

Eileen Tattersall

* * *

Przesyłam 10 szylingów na pomoc ludności Warszawy.

Mrs. T. Raine

W załączeniu przesyłam P.O. na sumę £10 z przeznaczeniem:

£3 na "Błękitny Fundusz" dla Rannych Armii Krajowej.

£4 na pomoc dla dzieci Warszawy,

£2 na pomoc dla rodzin polskich w Rosji,

£1 na zakup strychniny dla "tymczasowego rządu" w Lublinie, o ile Redakcja uzna, że dawka będzie za mała, odwrotnie przekażę więcej. W każdym razie pozostawiam tę kwotę do dyspozycji Redakcji. */Redakcja przeznacza ten funt na pomoc ludności Warszawy/.*

Leopold Kilarski

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order Nr. RX 7162 na kwotę £11 /jedenaście funtów szterl./, zebraną przez żołnierzy Komp. Radiotelegraf. po Wieczerzy Wigilijnej z przeznaczeniem na "Fundusz Pomocy Warszawie".

Kpt. S.P.

* * *

Przesyłam w załączeniu Money Order na £2, ofiarowane na Fundusz Pomocy Warszawie — przez "Melrose Football Club" w Melrose.

D-ca Plutonu Opieki n/Żoł. K.A., kapitan

* * *

W załączeniu przesyłam £10.5.0 /słownie: dziesięć funtów, pięć szylingów/ złożonych przez mieszkańców miejscowości Comrie na ręce tut. Dcy komp. w celu przekazania tej sumy na Pomoc Warszawie.

Dowódca 4 komp.

* * *

W załączeniu przesyłam postal order na £3 /trzy £/ na fundusz pomocy Warszawie — zebrane podczas meczu piłki nożnej między reprezentacją garnizonu a "East Fife" w dn. 6.I.45.

Oficer Opieki ppor. K.

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na £1 /słownie: jeden funt/ na pomoc Warszawie, jako nieprzyjętą ofiarę przez ks. dziekana Szymałę za odprawienie nabożeństwa w dniu imienin mojej Matki.

Eugenia Dykasowa

* * *

Żołnierze III Dyonu . . . P.A.Mot. złożyli kwotę £104 sh.3 d.9 — sto cztery funty, trzy szylingi, dziewięć pensów — na pomoc ludności Warszawy.

Oficer opieki P/15

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na sumę £1 na pomoc Warszawie.

L.R. z Poznania

* * *

Przesyłam w imieniu Karola Baksika, oraz swoim postal order na sumę £1 z przeznaczeniem na fundusz obrońców Warszawy.

J. Kieszowski

* * *

Uczniowie kursu motocyklowego przy III Dyonie . . . P.A.Mot. złożyli kwotę £1 sh.8 d.3 /słownie: jeden funt, osiem szylingów i d.3/ z przeznaczeniem na "Pomoc Warszawie".

* * *

Przy niniejszym przesyłam postal orders na sumę £2.12.0 złożoną przez gości w dniu imienin Kaspra X. z przeznaczeniem na pomoc Warszawie.

J.M.

* * *

Żołnierze . . . Bat. C. W. Art. składają £1 na Pomoc Ludności Warszawy.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £149.19.0 /słownie: sto czterdzieści dziewięć funtów, dziewiętnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Nieprzyjęta opłata za ogłoszenie od p. Swicza £4 na "Błękitny Fundusz".

* * *

£3 na "Błękitny Fundusz" dla rannych Armii Krajowej.

Leopold Kilarski

Światowy Związek Polaków z Zagranicy uprzejmie zawiadamia o zmianie adresu instytucji. Obecny adres jest:

Światowy Związek Polaków z Zagranicy,
World League of Poles Abroad,
38, Wilton Crescent,
London, S.W.1.

Pod tym adresem mieszczą się również Polska Agencja Prasowa "Światpol" i Polskie Biuro Wydawnicze "Światpol".

Tymczasowy numer telefonu jest SLOane 0757/8. W najbliższym czasie założone zostaną dawne, stałe numery telefoniczne Światowego Związku i P.A.P. "Światpol".

Ukazał się Nr. 51 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" poświęcony przedwojennemu wychodźstwu polskiemu. Na bogatą treść numeru składają się liczne artykuły, fotografie oraz piękna mapa, ilustrująca rozmieszczenie Polaków w świecie. Materiały zebrane przy wydatnej pomocy "Światpolu" zawierają między innymi artykuły pisane specjalnie dla "Poradnika".

GRACJAN PIÓR poszukuje brata EDMUNDA PIÓR, urodzonego 2.III.1922 w Lipinkach, powiat Świecki /ewentualne wiadomości pod adresem P/76 Polish Forces, Of. Opieki/.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

SOUVENIR



—Czyś zwariował? Coś ty nałożył na nogi?

—Pantofle nocne — prezent od chrzestnej mamy z Bredy . . .

ŻART NA CZASIE

Jednego z oficerów zapytuje Szkot:

—Niech się pan nie gniewa, lecz my nie możemy zrozumieć, co wy Polacy nosicie w tych teczkach?

—"Kartę Atlantycką". Tylko proszę o tym nikomu nie mówić. Anglicy śmialiby się z nas . . .

BYSTRA ODPOWIEDŹ

—Pan jest podporucznikiem czasu wojny?

—Nie panie majorze, podporucznikiem czasu końca wojny! . . .

W EDYNBURGU

—Ooo!! To pan jeszcze nie jest pełnym porucznikiem?

—Owszem — na twarzy . . .

O CO SIĘ BIJECIE

W czasie świąt Bożego Narodzenia Niemcy ostrzeliwali nasze oddziały w Holandii pociskami wypełnionymi ulotkami. Ulotki brzmiały: "Wesołych świąt — o co się bijecie?" . . .

Podobno Polacy wystrzelili im odpowiedź: "Nie wiemy o co się bijemy — przyjdźcie do nas i wytłumaczcie nam — czekamy" . . .

ROZMOWA O SZTUCE HOLENDERSKIEJ



—To pan zna Rubensa?

—Jeszcze jak! Cały rok byłem u niego ordynansem w Londynie . . .

MIĘDZY BITWAMI W HOLANDII



—Feluś, nad czym się tak zadumałeś?

—Zastanawiam się, ilu karatowy jest ten zegar?

NIE TAKI WARIAT! . . .

Do pewnego dowódcy zgłasza się żołnierz, zdradzający objawy choroby umysłowej:

—Panie kapitanie, melduję posłusznie 1, 2, 3, że ja już tak długo nie wytrzymam 4, 5, 6, ja chcę się zwolnić z wojska 7, 8, 9, ja chcę się żenić 10, 11, 12, ja muszę sobie założyć dom 13, 14, 15, ja proszę o odesłanie mnie do K.U. 16, 17, 18, ja muszę mieć dzieci . . .

—Ależ kolego — zwraca się kapitan — ja o tym nie wiedziałem 19, 20, 21, jeżeli chcecie wyjść z wojska, to bardzo proszę 22, 23, 24, jeżeli chcecie się ożenić, to też nie będę wam stał na drodze 25, 26, 27, jeżeli chcecie mieć dzieci, to miejcie 28, 29, 30!

—Panie kapitanie, a czy to ja wariat mieć aż 30 dzieci!?! Wystarczy mi 1, 2, 3! . . .

ZBIERACZ DOKUMENTÓW



—Poco Panu te ramy?

—Chcę sobie oprawić na pamiątkę kilka artykułów z prasy brytyjskiej . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Zagadki:

1/ Ślimak usiłuje wydrapać się z dna wysuszonej studni na wierzch. Studnia jest głęboka na 10 metrów. Ślimak posuwa się ku górze 3 metry dziennie, ale w nocy zesuwa się o 2 metry. Jak długo potrwa nim dojdzie do szczytu?

2/ Dla matematyków! Czemu równa się iloczyn /x — a/ . /x — b/ . /x — c/ . /x — d/ . . . i t.d. aż do /x — z/? /Drugą cyfrą w nawiasie są wszystkie litery alfabetu./

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

/d/

Gdy Winston Churchill miał po raz pierwszy w życiu przemawiać na zebraniu w Manchesterze jego towarzysz, Lord Salisbury zwrócił się do niego:

"Masz tremę Winstonie?"

Przyszły premier angielski skinął potwierdzająco głową.

"Mój chłopcze", powiedział stary mąż stanu, "nie bądź nerwowy, lecz rób to co ja zawsze robiłem. Gdy wstawałem, aby przemawiać, zawsze przyglądałem się uważnie mym słuchaczom. Potem mówiłem do siebie "*what a lot of silly fools* /co za zbieranina durniów/" i potem czułem się lepiej".

/d/

Z pogadanki B.B.C.: "Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę w 1492 r. Amerykanie odkryli Anglię z powrotem w 1942 r."

/d/

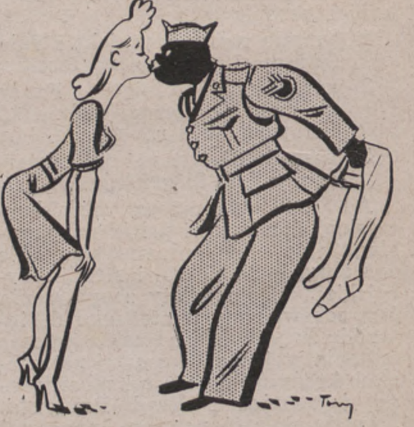
Odpowiedzi:

1/ 8 dni. Siódmego dnia ślimak wydrapie się 7 metrów, do góry. Ósmego dnia posunie się o 3 metry i znajdzie się u szczytu.

2/ Iloczyn równa się zeru, bo zawiera między innymi działanie /x — x/ = O.

/d/

HANDEL WYMIENNY W PARYŻU



Czarny rynek . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

POSZUKIWANIE

Poszukuję mego męża STEFANA MELISA — por. artylerii. Wyjechał do Anglii w końcu 1943 r. Wszelkie wiadomości proszę kierować pod adresem: Jadwiga Melis, 23, Rue Taitbout, YMCA, Paris, 9. France.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Emil Reiska poszukuje syna: JANA EMILIANA REISKA ur. 22.VI.1922 w Sandomierzu. Wszelkie wiadomości proszę kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

* * *

P. WACŁAW TENGOWSKI ma do odebrania list w Redakcji "Polski Walczącej".

* * *

LUDNIK WANDA poszukuje brata swego GLIŃSKIEGO JANA. Ostatni znany adres z roku 1943 był w Teheranie. Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press. Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.